WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

WIDMO.

ŚRODA. — ZAKOPANE PIENIĄDZE.
Z DZIENNICZKA KOBIETY. — WŁASNĄ PRACĄ. — PIETREK.
BEMBO. — LITERATURA MOJEJ ŻONY. — MAMA CRÉTIEN.
POWOŁANIE. — ZE WSPOMNIEŃ AUTORA DRAMATYCZNEGO.
BĄK. — NIEBIESKA SUKMANA.

KRAKÓW.
NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1889.

NOWELE.

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

WIDMO.

ŚRODA. — ZAKOPANE PIENIĄDZE. — Z DZIENNICZKA KOBIETY. WŁASNĄ PRACĄ. — PIETREK. — BEMBO. — LITERATURA MOJEJ ŻONY. — MAMA CRETIEN. — POWOŁANIE. — ZE WSPOMNIEŃ AUTORA DRAMATYCZNEGO. — BĄK. — NIEBIESKA SUKMANA.

KRAKÓW.
NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI.
1889.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. J. Gadowskiego.

Panu

Dyonizemu Henkielowi

w dowód czci

Autor.

WIDMO

On najpierwszy z nas wszystkich wszedł na tę krętą ścieżkę życia, którą się czasem dochodzi do bogactwa, ale najczęściej do hańby i nędzy. On! — który najwięcej i najgłośniej krzyczał w naszych uczniowskich poddaszach!

Wtedy nikt nie przypuszczał, żeby Tyczyński był blagierem. Ale bo po tylu latach nauki nie wiedzieliśmy o tej kardynalnej prawdzie, że i życie bywa blagą.

O, wtedy! Miałem lat dwadzieścia, i co chwila, spotykałem się z kolegami ostatniej już klasy. Wszyscy mieliśmy jedne ideały, jedne zasady i pojęcia. Wszyscy przekonani byliśmy, że my tylko wierzymy w prawdę. Wszyscy czuliśmy w sobie zamiary i siły — do przerobienia świata.

Mówią, że to był sen, sen złoty — na kwiatach. Nieprawda! To była rzeczywistość. Dziś jest snem, — przykrym, niezdrowym snem, w któ-

rym czujemy uścisk zmory na piersi. Inaczej cóżby było warte życie?

Prędko się jednak kończy rok dwudziesty. A po nim rozpoczyna się zwolna to usypianie snem praktycznego życia, snem, niedającym wypoczynku i niekrzepiącym sił.

Tyczyński pierwszy usypiać zaczął.

Od początku jakoś wcale nieźle mu się wiodło. Miał on trochę szczęścia, trochę protekcyi, trochę sprytu, — wszystkiego potrosze, czego potrzeba do zdobycia sobie dobrej posady i utrzymania się na niej. Nieraz, idąc w pokrzywionych bótach przez ulicę, spotykaliśmy Tyczyńskiego, jadącego dorożką, co uważaliśmy wtedy za wyrafinowany zbytek.

W pierwszych latach żyliśmy dosyć ściśle z sobą. Szkolna przyjaźń nie rozpierzchła się jeszcze przed życiem, jak barwy poranka przed południem. A przytem łączyło nas ciągle to wspólne czwarte piętro.

Tyczyński nie usuwał się wcale od nas. Bywał na naszych zebraniach i zapraszał nas do siebie. Podobno wtedy już miał na sumieniu jakąś niezupełnie jasną, a więc i niezupełnie czystą historyjkę. Rozbieraliśmy to bardzo często, nie krępując się żadną ostrożnością w wydawaniu o nim surowych sądów:

— Szubrawiec.

— Bydlę.

— Łotr.

Prawdy jednak nie mogliśmy się domacać. Tyczyński najusilniej zaprzeczał wszystkiemu, i jak dawniej, ciągle wypowiadał długie tyrady o uczciwości My, przekonani stopniowo, że honor człowieka nie leży na końcu jego języka, umilkliśmy, a on — ciągle krzyczał.

Wkrótce, dążąc każdy swoją drogą, rozeszliśmy się wszyscy w różne strony. Jeden o drugim nie wiedział, chociaż nie zapomniał.

W dziwny bo sposób wiąże z sobą ludzi wspomnienie wspólnej ławy szkolnej. Ciągle czuliśmy się związani nićmi koleżeństwa, które rozciągały się prawie aż do nieskończoności, stawały się coraz cieńszemi, tysiąc by ich spleść trzeba na jedno pajęcze włókno, — a jednak nie zrywały się nigdy.

Kiedyniekiedy spotykaliśmy się z sobą w najrozmaitszych okolicznościach. Rzadko jednak spotkaliśmy się we trzech, a w czterech, to i nie pamiętam, czy kiedykolwiek. Wtedy przez godzinę znikał *sen*, i wracała owa młodzieńcza, świetlana *rzeczywistość*. Pomimo tych lat, które przeszły od dnia popisu, w którym ostatni raz zebraliśmy się razem, czuliśmy się zawsze szkolnymi kolegami.

Wszystkich interesowały losy każdego z nas, a każdy interesował się wszystkimi. Zarzucaliśmy się przy spotkaniu zapytaniami:

— Cóż się z tobą dzieje?

— A z tobą? a z tamtym?

Nikt nie był pominięty. Szczęśliwi otrzymywali uśmiech życzliwości, nieszczęśliwi trochę współczucia, umarli chwilę żalu. Pytania były krótkie, szybkie, obfite; tyle ich było, co wody na wiosnę. Odpowiedzi niepewne, niedokładne, skąpe. Nic dziwnego. Wspomnienie, które pobudzało do pytań, trwało ciągle; przypadek, który udzielał odpowiedzi, trafiał się raz na lat parę.

O Tyczyńskim ciągle było słychać źle. Dochrapał się już niezłego stanowiska, ale wykryto różne brudne jego sztuczki i dano mu dymisyą. Następnie mówiono, że znowu ma gdzieś jakąś posadę, i to niezłą. Ten człowiek miał widocznie naturę kota; padał — na nogi.

Po latach dziesięciu mniej oburzało nas jego postępowanie. Nikt nie rzucał mu w oczy tych obelżywych epitetów, co dawniej. Słysząc o jego wiecznych szwindlach, kiwali tylko niektórzy głowami, a niektórzy i nie kiwali nawet.

Zmieniliśmy się.

Cóż się nie zmienia? człowiek nie jest skałą, a przecież skały wietrzeją. I nasza uczciwość,

teoretyczna młodych chłopców, którzy jeszcze nie mieli sposobności zarobić ani ukraść dziesiątki, zwietrzała pod nieustannem działaniem życia. Byliśmy mniej surowi dla Tyczyńskiego, bo i na niejednym z nas zaciążył grzech lub możliwość grzechu.

Upłynęło lat parę, i ja znalazłem się w możności udzielania informacyi spotykanym kolegom o Tyczyńskim. Przypadek, który ludzi rozłącza i zbliża, postawił mnie w takiem położeniu, że byliśmy prawie kolegami znowu. Służyłem wtedy, jako urzędnik przy kolei żelaznej i pewnego razu dowiedziałem się, że Tyczyński przy tejże kolei jest płatnikiem rozjazdowym. Nie miałem jednak z nim stosunków.

Musiało mu być nieźle z jego zasadami. Po całej linii krążyła wieść, że „Tycio“ *urządza*, co się da, gdzie się da i z kim się da. Był zręcznym i ostrożnym, — ufali mu więc — wspólnicy.

Parę razy zagrożony denuncyacyami i śledztwem, umiał wywikłać z trudnej sytuacyi i siebie, i innych. Przyniosło mu to nawet trochę herostratowej sławy, no, — i zapewne dużo zachęty na przyszłość.

Jedno z tych „nieporozumień“ opłacił Tycio tranzlokacyą. Pewnego razu płatnik, żegnając się ze mną, rzekł:

— No, teraz zapewne żegnamy się na czas dłuższy.

— Na dłuższy, niż miesiąc? A nasza pensya?

— Przywiezie ją Tyczyński. Ja idę na jego miejsce.

Tego dnia nie mogłem usnąć późno w noc. Położenie moje stawało ciągle przed oczami i wołało gwałtem o rozwiązanie. Miałem żonę i sześcioro dzieci. Pensya ledwie że starczyła na utrzymanie rodziny. A pomimo całej oszczędności, z jaką żona prowadziła dom, — powoli, ale ciągle wzrastały długi, na które niebyło pokrycia. Z początku łatwe, nieznaczące, drobne, rosły z czasem. Z początku grzeczne i potulne, następnie stawały się gburowatemi, hardemi i zuchwałemi. Wprawdzie ustępowały na czas jakiś, zażegnane układem, zabierając ze sobą po kawale mojej pracy, — ale następnie wracały, zuchwalsze jeszcze.

Szczęśliwy byłem, gdym o nich nie myślał lecz tej nocy sam przywoływałem je przed wyobraźnię. Myśl długo pracowała, ukryta, niewyraźna.

Wreszcie zrobiła podkop, którym wyszła na wierzch. Przyglądałem się moim długom z coraz większym spokojem, aż wreszcie rzekłem tym niepokojącym masom:

— Dam ja wam!

Dług się zwycięża wtedy, gdy go się płaci. Postanowiłem w tym celu porozumieć się z Tyczyńskim. Przy jego pomocy dałoby się zrobić to i owo bez wielkich zachodów, a co najważniejsza, — bez śladu .. Innym przecież takie drobnostki nie przyniosłyby dotkliwej szkody, — a dla mnie byłby to jedyny dzisiaj ratunek.

Usnąłem spokojny. Nazajutrz z pewną niecierpliwością oczekiwałem przybycia kolegi szkolnego.

Byłto letni, rozpalony dzień lipcowy. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Tyczyński mało się zmienił. Mężczyzna w sile wieku, ubrany z niezmierną elegancyą i starannością; ja przy nim zapewne bardzo staro wyglądałem. Wątpię, ażeby ktoś, patrzący z boku, mógł przypuścić, że ci dwaj ludzie, jeden młody, wesoły, elegancki, drugi podstarzały, zaniedbany, rubaszny trochę, — byli kiedyś szkolnymi kolegami.

Przywitanie było serdeczne. Uścisk dłoni był silny i długi, oczy patrzyły z rozradowaniem, ale i ciekawością.

— I cóż?!

— I cóż?!

— Tysiące rzeczy, ale odłóżmy je do chwili,

gdy zasiądziemy przy stole. Wszak pójdziesz do mego mieszkania?

— Pytanie?! Masz żonę...

— I sześcioro dzieci.

— Ja jestem kawalerem, starym kawalerem...

— Starym... no... dajże pokój...

— Mówisz, żem nie postarzał się...

— Jesteś w kwiecie wieku...

— Żartujesz?

— Doprawdy.

— Widzisz, bo ty...

— Wiem, wiem, — siwieję.

Czemuż ja jednak jestem tak zaambarasowanym? Wszak to chwila szczęścia — spotkanie z kolegą. Zawsze takie fakty odmładzały mnie; dziś nie. Nie wraca *rzeczywistość, sen* trwa ciągle. Bo to ta zła myśl o przestępstwie, o nieprawem zdobyciu cudzych pieniędzy tak krępowała mnie i truła mi radość, jaką obiecywałem sobie ze spotkania z kolegą.

Tyczyński! cóż ztąd, że Tyczyński? — wszak kolega szkolny.

Urok wspomnień nie powracał. Tyczyński spostrzegł moje zakłopotanie. Obawiał się, czy nie jestem onieśmielony obecnością urzędnika, mającego trzy razy większą, niż moja, pensyą. Wysilał się na większą jeszcze uprzejmość i ser-

deczność. Zawstydzał mnie. Ja nie mogłem się zdobyć na równe przyjęcie.

— Moja żona, pan Tyczyński.

— Niech pani nie wierzy. Jestem Tyczyński poprostu, kolega szkolny Olesia. A to aniołeczki...

Jedliśmy obiad. Tyczyński ciągle mówił ze mną, z żoną, z dziećmi. Tchnął humor w naszę przygnębioną trochę atmosferę. Jakiż on miły, łatwy, przyjacielski! Przypominam sobie, że wszak on zawsze tak wiele mówił, a „my“ wtedy nazywaliśmy go z tego powodu blagierem. Weszliśmy wreszcie na tor wspomnień szkolnych. Tyczyński pociągnął mnie w „rzeczywistość“.

Zwolna mój zamiar, jako należący do *snu*, rozpierzchł się pod tchnieniem *rzeczywistości*. Gawędziliśmy swobodnie, — niedotknąwszy tego, czegom ja chciał spróbować, a w czem on grzązł wyżej uszu.

Po obiedzie przeszliśmy do kancelaryjnego pokoiku na cygaro. Moja myśl wróciła, a z powrotem tym uciekła radość. Bądźcobądź, postanowiłem wypowiedzieć swój projekt, napomknąć choćby, dać mu do zrozumienia. Wszak wszystko „to“ było tak łatwem i tak prostem. Ja zapisałbym w liście płacy kilkanaście nazwisk, mających udawać tyluż robotników, pracujących na linii kolejowej, a on, któremu wydadzą pieniądze dla

zapłaty tych nieistniejących pracowników, podzieli się niemi ze mną. Rutynowana manipulacya!

Zapaliliśmy cygara.

Postanowiłem być dyplomatą i wyciągnąć Tyczyńskiego na pierwsze słowo propozycyi. Po chwili milczenia rzuciłem mu zapytanie:

— No, i jakże ci idzie?

— Nieźle...

Szło mu dobrze. Przyznał się, że jest bałamutem i że wiele pieniędzy, wszystko, co ma, puszcza na kobiety. I tam dalej...

Znowu oddalamy się od przedmiotu. Przerywam mu raz, drugi, trzeci... On pyta się wreszcie o moje powodzenie.

„Aha, zbliżamy się!“

— U mnie?... u mnie nieledwie bieda. Wydatki wielkie, pensya szczupła; przytem mały, ale gniotący dług lichwiarski, którego nigdy nie można spłacić...

Tyczyński spogląda mi w oczy.

Jestem pewien, że jedna myśl siedzi nam w głowie. Dziwna rzecz, iż ja się mieszam trochę pod jego wzrokiem, a i on także odwraca głowę.... mówimy dalej, ale o niczem, puste słowa poprostu. Ja — jak ja. Czuję rumieniec na twarzy, którego całym wysiłkiem woli nie mogę cofnąć. Ale on, wytworny, wytresowany

w „tej“ szkole, niemający wstydu, *Tyczyński* poprostu, i on także się rumieni.

Nastąpiła długa, ambarasująca pauza. Ja znalazłem jakąś konieczną potrzebę wyjrzenia oknem, on przegląda kalendarz przeszłoroczny. Ale niemożna wyglądać ciągle; odwracam się, i oczy nasze się spotykają.

— Dobry kalendarz, — mówi.

— O, tak! bardzo dobry, — odpowiadam.

Z trudnością nawiązuje się rozmowa. Ale koniec końców porozumieć się musimy. Czyż jakieś tam „widmo“ ma zawiązać nasze usta, uczynić nas niewolnikami? Rozmawiamy o obojętnych sprawach, jakby dzisiejsi znajomi, pomimo, że czujemy, iż tyle, tyle rzeczy mamy sobie do powiedzenia. To nic innego, tylko „to“. Czujemy nasze myśli, rozumiemy się, a porozumieć nie możemy. Jedno słowo, — ba! półsłówko wystarczyłoby, a żaden z nas nie może się na nie zdobyć. Bo gdyby tylko nastąpił między nami układ, co do wiadomej rzeczy, powróciłaby natychmiast ta rzewna a wesoła harmonia, która zawsze ogarniała mnie, a zapewne i jego przy spotkaniu się z którym z kolegów. Wróciłaby „rzeczywistość“, byle tylko raz załatwić się ze „*snem*“.

Ach! oto i sposobność, doskonała, jedyna, łatwa sposobność i tak sprytnie podana przez Ty-

czyńskiego. Rozmawialiśmy o korzyściach nowo zaprowadzonej kontroli, nie słysząc wzajemnych odpowiedzi. To też ni ztąd, ni zowąd Tyczyński mówi:

— A pamiętasz ty, Olku, te nasze złote czasy i ideały? Co?

— Ba!

— Patryotyzm nasz, wolteryanizm... na... naszę u... u... uczciwość? Gdzie to wszystko?!

Powiedział. Rzucił słowo, które było trzeba tylko podnieść. Mówił to, patrząc przez okno. Ja — nie podniosłem! Bąknąłem niewyraźnie:

— O, tak! to były złote czasy, święte czasy... złote czasy... złote czasy...

„Widmo“ lat szkolnych trzymało nas w swojej zaczarowanej mocy. Krępowało nasze języki, niepokoiło nasze piersi palącym oddechem, na który nie wchodził gaszący strumień innego, czystego powietrza. Nagle w jednej chwili zdecydowałem się cofnąć, — póki był czas. Powiedziałem sobie, że „to“ tak już pozostać musi niewykonane, niewypowiedziane, że ciążyć ono będzie ciągle na taczce mojego życia, ale nie na mojem sumieniu. Trudno; było tak dotąd, — będzie i nadal.

Twarz mi się rozjaśniła.

— A pamiętasz ty, — rzekłem — Tyciu, ten twój kawał z profesorem botaniki...

— Czy pamiętam? Jakby wczoraj! Ha! ha! biedny belfer...

I Tyczyński twarz rozjaśnił. Musiał i on zapewne skwitować z „tego“, dać „widmu“ za wygranę. Nagle pokoik mój rozweselał śmiechem; powietrze zadźwięczało metalicznemi tonami sympatyi, rozrzewnienia.

Wróciła „rzeczywistość“, i było nam tak ciepło, tak dobrze . . . .
. . . .

Żyję z Tyczyńskim w ciągłych stosunkach służbowych i przyjacielskich. Dobry koleżka, poczciwe serce, — trochę blagier zawsze, i, co najgorsza, lekki aż... do ostateczności.

Wydaje trzy razy miesięcznie swoję pensyą — na kobietki. Wokoło mnie wszędzie widzę ponawiązywane „takie“ stosunki, a związane tak białemi nićmi, że niezadługo pewnie wpadną w oczy, przed któremi są ukrywane. To też patrzę na mojego szkolnego kolegę, jak na ów przysłowiowy dzban ze słabem uchem. Strofuję go czasami, udając jednak, jakbym nic o niczem nie wiedział. Rumieni się zawsze wobec mnie.

Co do mnie, — jestem czystym.

Pcham z trudnością moję taczkę życia; mam wprawdzie chwile zniechęcenia, ale wynagradza mi to ten spokój, z jakim spoglądam w przyszłość, nieobawiając się żadnej „katastrofy“, jaka wkrótce po raz nowy spotka Tyczyńskiego. Pamiętam o tem, że on ma zdolność padania zawsze na nogi, a ja — mam żonę i sześcioro dzieci. Mnie nie wolno mojego losu postawić na hazard. Cieszę się moim spokojem i po każdem widzeniu się z Tyczyńskim miewam marzenia... w cichej szarej wieczornej godzinie. Przywołuję wtedy „widmo“ tych lat młodzieńczego szczęścia i teoretycznych zasad i dziękuję mu, że w swoim czasie stanęło z rozkrzyżowanemi rękami na jednej z krętych ścieżek, przed którą się zatrzymałem przez chwilę.

ŚRODA

Późny brzask zimowego dnia rzucił przez wysokie okna pierwsze niepewne światło na salę szpitalną.

Z ustępującej ciemności wyłaniać się zaczęły dwa rzędy łóżek, stojących wpoprzek dłuższych ścian i tworzących szerokie przejście od drzwi do środkowego okna. W miarę napływania jaśniejszego światła, rysowały się na łóżkach coraz wyraźniejsze kształty otulonych kołdrami postaci, których tylko twarze blade i nieruchome widać było na białych poduszkach.

Najpierw obudził się chory, leżący na najbliższem okien łóżku. Stanowił on kontrast z innymi bladymi i wątłymi. Byłto olbrzym prawie, o niezwykłych rozmiarach, z silnie wydatnemi muskułami na całem ciele, z czerwoną twarzą i grubą żylastą szyją. Wyciągnął się na łóżku, które zatrzeszczało, krótsze niż niezwykle wysoki pacyent.

Podniósł głowę i huknął grubym głosem, wychodzącym z szerokich i wydatnych piersi:

— Wstawać! Hej! Dziś środa!

Inni zaczęli otwierać oczy, przechodząc w pół stan nie pewny, pogrążeni jeszcze trochę we śnie. Zachęcał ich do wytrzeźwienia wesołymi głosem:

— Środa dziś! środa, panowie!

Niektórzy popodnosili się do połowy na łóżkach; rozbudzeni zupełnie, rozjaśniali twarze, zwrócone na olbrzyma, który jako radosną nowinę nie przestawał wołać, sam niezmiernie ucieszony:

— Środa, panowie, środa!

Rozpoczynający się dzień witali z jednomyślną radością, tak rzadką w murach szpitala. Dzień odwiedzin, w którym drzwi wszystkich sal stoją otworem dla gości, dzień z takiem upragnieniem oczekiwany przez chorych, nadszedł więc... Ta sala, z której jedna droga prowadzi na miasto, a druga do trupiarni, przybrała dziś inną fizyognomią, niezwykłą i odświętną. Od samego rana było gwarno i wesoło. Ci, którzy mogli chodzić, odrzucali kołdry, wstawali i ubierali się w szlafroki. Olbrzym wstał również i zaczął chodzić ciężkiemi krokami, pod któremi uginała się podłoga. Słychać było pomieszane głosy:

— Jakto dobrze, że dziś środa. Przyniosą mi tytuniu!

— Założyłbym się, że do mnie przyjdzie brat...

— Ja się spodziewam pieniędzy.

Olbrzym zaimponował im:

— Do mnie przyjdzie kilka osób, zobaczycie.

Młody piętnastoletni chłopiec, bledszy, niż inni z powodu operacyi, którą na nim wykonano wczoraj, rozśmieszył na chwilę towarzyszów, mówiąc naiwnie:

— Do mnie przyjdzie... mama.

Posługacz, który wszedł, ażeby zamieść, z zadziwieniem spojrzał na chorych, którzy o tej godzinie zwykli spać jeszcze. Po chwili dopiero zmiarkował się:

— Ach, prawda, dziś przecież środa!

Zamiatanie połączone było z wielkiemi trudnościami, ponieważ chorzy zgarniane śmiecie roznosili na pantoflach po całej sali.

Śniadanie spożyto prędko, bez zwykłego przy tej sposobności narzekania na administracyą. Poczem wesoło kręcono papierosy z resztek tytuniu. Ci, którym wyszedł zapas, pożyczali od innych, zapewniając:

— Dziś oddam; z pewnością.

Gawędzili nadzwyczaj wesoło, nazywając się dziś chętniej, niż innych dni, po przezwiskach,

które są tu w użyciu. Na olbrzyma nie wołano inaczej, jak:

— Panie Dryblas!

Zawołany odpowiadał pytaniem: co?... nie obrażał się złączony węzłami wspólnej niedoli, która szybko wyradza przyjaźń i poufałość.

Spacerujący z ręką na temblaku szczupły blondyn, artysta muzyk, nazywał się tu: Klarnetem. Łysy urzędnik banku, z obejściem trochę lękliwem, nadzwyczaj powolny i łagodny, nosił miano: Impetyka. Młodego chłopca, który spodziewał się mamy, nazywano poprostu: Małym. Niektórym wymyślano przezwiska z poprzekręcanych nazwisk.

Wśród nich rej wodził Dryblas, imponując siłą fizyczną i ciągłem zapewnianiem, że do niego dziś przyjdzie kilka osób.

Rozmawiano o dwóch towarzyszach, którzy wypisali się ze szpitala w ubiegłym tygodniu i wychodząc, złożyli najsolenniejsze przyrzeczenia, iż w najbliższą środę przyjdą odwiedzić pozostałych.

— Przyjdą! — Nie przyjdą!

Zdania były podzielone. Dryblas, widzący dziś wszystko w różowem świetle, upewniał, że niewątpliwie przyjdą.

— Przyjdą, zobaczycie! Byliby bydlętami, gdyby nie przyszli.

Impetyk wszakże był innego zdania; powolnym głosem objawił opozycyą.

— A ja wam mówię, że nie przyjdą. Założyłbym się... Ja już, razem wziąwszy, ze dwa lata przepędziłem w szpitalu. Każdy bez wyjątku, kto się wypisuje, obiecuje odwiedzić pozostających, no, i nikt nigdy nie dotrzymał przyrzeczenia. Wśród innego życia zapomina się łatwo o towarzyszach jednej sali szpitalnej.

Roztrząsano tę kwestyą jeszcze czas jakiś. Przypuszczano, że jeżeli nie obydwaj, to może jeden z nich będzie *tak porządnym*, że przyjdzie. Wreszcie wszyscy, oprócz Impetyka, zgodzili się na jedno.

— Może! może!

Oględziny doktora odbywają się dziś wcześniej, niż zwykle. Niema żadnych operacyj. Niezbędne opatrunki wykonywają się z pośpieszną szybkością. Wreszcie wychodzą doktorzy i felczerzy i chorzy, nieprzykuci słabością do łóżek, zajmują posterunki przy oknach, wyglądając na podwórze, przez które nadejść mają oczekiwani lada chwila krewni, przyjaciele i znajomi. Przy środkowem oknie jest trochę niezgody; za złe

mają Dryblasowi, że taki gruby i zajmuje miejsca za dwóch.

Z okien widać podwórze pokryte śniegiem, na którym wydeptano parę ścieżek. Jedna z nich, najszersza, prowadzi od furty w parkanie frontowym do głównego pawilonu, gdzie na dole mieści się administracya, a na górze sale chorych zamożniejszych. Na białem tle śniegu rozczepierzają się czarne poplątane gałęzie kilku starych kasztanów. Przy furcie stoi mały domek odźwiernego z jednem okienkiem o dwóch szybach, z kominem, z którego przez całą zimę nieustannie wychodzi dym.

Ci, co nie mogą wstawać z łóżek, zadają pytania wyglądającym:

— Cóż?... Idzie kto?

— Nie.

I po upływie kilku minut znowu:

— A może teraz kto idzie?

— Nie.

Wreszcie, co chwila powtarzane pytania nudzą tamtych. Odpowiadają więc niecierpliwie:

— Ach! dajcież nam pokój! Jak będzie kto szedł, to powiemy!

I prowadzą ożywioną rozmowę o wróblach, które w tej chwili spuściły się na parkan szpitalny. Liczą je... Jednemu wypadło dwanaście,

drugiemu trzynaście, trzeciemu tylko dziewięć, z ostatniego śmieją się, że ślepy.

Ci, co leżą na łóżkach, z zajęciem i zazdrością przysłuchują się tej rozmowie o wróblach.

Nareszcie ruch się robi pomiędzy wyglądającymi. Zobaczyli odźwiernego, jak wychodzi z domku i otwiera furtę. Po chwili Klarnet odbiega od okna, krzycząc radośnie:

— Mój brat! mój brat!

Z uciechy daje parę susów, gubiąc przytem pantofel. Jeden z leżących krzyczy, ażeby nie robił wiatru, który powstaje przez ruch dwóch poł szlafroka przy skakaniu.

Klarnet przebiega salę w podskokach; nagle staje i nadsłuchuje.

— Oho! jest już na schodach.

I kiedy wita się z wchodzącym, obserwatorzy sygnalizują wejście na podwórze nowej osoby.

— Kto to? Kto taki?

Żaden z wyglądających nie przyznaje się do niego. Z łóżek rozlegają się zapytania.

— Jak wygląda? jak wygląda?

— Niski, w futrze.... — Z okularami. — Z przystrzyżoną czarną bródką...

Jeszcze nie wszedł „niski w futrze“, gdy od okien rozlega się nowy sygnał:

— Mały! mama!

Cała sala wrzeszczy wesoło:

— Mama! — mama!

Brat Klarneta robi głośną uwagę:

— U panów tu przynajmniej wesoło.

Wchodzi „niski w futrze“, a za nim mama z torbą przysmaczków dla gagatka. Rozmowa staje się głośniejszą i weselszą. Święto szpitalne rozpoczęło się.

W miarę, jak posuwają się wskazówki wiszącego na ścianie zegara, który w dzień umilkły, w nocy szepce swoje „tik-tak“ niemogącym spać biedakom, — na posterunku przy oknach ubywa obserwatorów. Sala zaludnia się coraz bardziej. Rozmowa raz rozbija się na małe dyalogi, szeptane przy każdem łóżku, to znów łączy się w ogólną, przeplataną dowcipami.

Mały, z uśmiechem na wybladłej twarzy, częstuje towarzyszów czekoladkami.

Jeden odzywa się głośno:

— Hej! komu ja tam winien jestem tytuń! płacę długi!

Niektórzy z gości bawią tu małe półgodzinki i wychodzą, usprawiedliwiając się interesami na mieście. Inni siedzą długo, po parę godzin, pozostawiając chorych, których odwiedzili, spokojnych, w dobrym humorze, przygotowanych na smutny i ponury nowy tydzień. Na miejsca wy-

chodzących wchodzą nowi goście. Gwar nie ustaje na chwilę.

Wreszcie, pozostaje przy oknie sam tylko Dryblas, który stracił dobry humor w tej przesiąkłej wesołością atmosferze. Wygląda ciągle, nieporuszony prawie, na podwórze, które zaczyna szarzeć we mgle szybko zapadającego wieczoru.

Sala zaczyna się powoli wyludniać, gwar zmniejszać. Gdy posługacz wnosi dwie naftowe lampy, ażeby je zawiesić na ścianach, jest już tylko kilku gości w sali. Święto zbliża się ku końcowi. Dryblas odchodzi od okna, zakrytego ciemnością nocy i zaczyna spacerować po sali, widocznie zgryziony. Skręca i pali papierosy, jednego za drugim bez przerwy, biorąc tytuń raz od tego, drugi raz od owego. Wszystkie paczki z tytuniem, o który jutro będą się prowadzić kłótnie, dziś stoją otwarte na wszystkich stoliczkach, służąc każdemu chętnemu w tym dniu komuny.

Wychodzi wreszcie ostatni gość i chorzy pozostają sami. Zawiązują między sobą zwykłą gawędę, spokojni jak ludzie, którzy zadowolnili swoje pragnienia.

Wieczór już dawno. Pewnem jest, że dziś nikt nie przyjdzie więcej. Opowiadają sobie szczegóły o stanowiskach i życiu osób, które ich

w dniu dzisiejszym odwiedziły. Przyznają słuszność Impetykowi; rzeczywiście obydwaj wypisani w tym tygodniu ze szpitala, pomimo uroczystych zapewnień odwiedzin, nie dotrzymali słowa.

Impetyk tryumfuje, puszczając pierścienie z dymu:

— A widzicie! czy nie mówiłem?!

Komuna się kończy. Paczki z tytuniem wędrują do szufladek. Mały chowa pudełko z czekoladkami.

Kilku usiłuje pocieszyć Dryblasa, twierdząc, że znajomi jego powetują dzisiejsze zapomnienie na przyszłą środę. Nie odpowiada im nic, chodząc ciągle po sali i zawzięcie paląc papierosy.

Ósma godzina. Podają kolacyą. Wszyscy, oprócz Dryblasa, jedzą z apetytem, wyczerpani trochę wrażeniami i głodni, bo wśród radości, ledwie tknięte obiady poodsyłali do kuchni. Jedzenie smakuje im; z tego powodu nie wyrzekają na administracyą, która dziś ma także święto.

Wszystko już wróciło do normalnego trybu; zaczyna się nowy szpitalny tydzień, tak długi i... smutny, ukazujący w perspektywie nowe cierpienia, opatrunki i operacye, bolesne lapisosowania i wstrętne lekarstwa.

Nadchodzi wkońcu noc, dziś łatwiej i spokojniejszy sprowadzająca sen na powieki tych, którzy w ciągu dnia zapomnieli prawie o swoich dolegliwościach, odżywieni paru chwilami innego życia, które przeniknęło poza te ponure mury z ruchliwych ulic miasta.

Zapanował sen i spokój; zegar znowu odzyskał głos, łącząc miarowe szepty z oddechami śpiących.

A ciche te objawy ruchu i życia przerywa tylko kiedyniekiedy silniejszy odgłos tłumionego płaczu, wychodzący z kąta przy oknie.

To Dryblas, skurczywszy na łóżku swoje olbrzymie, jakby ze stali wykute ciało, wstrząsa kołdrą, nie mogąc powstrzymać łez na myśl, że sam jeden został zapomniany w tem miejscu, gdzie się cierpi i umiera.

ZAKOPANE PIENIĄDZE

Potęgę bogaczów, ubogich marzenia — pieniądze, najprozaiczniejszą rzecz wśród życia prozy, umiała przybrać uroczemi kwiatami legiendy bogata i prosta fantazya ludu.

Podczas nocy letnich, ciepłych i gwiaździstych, na łąkach, przy ogniu suchych drewek, pod któremi pieką się, wykopane ukradkiem w zagonie sąsiada, kartofle, opowiadają sobie pastuszkowie podanie o kwiecie paproci.

Niezwykły bo to kwiat...

Kwitnie przez parę chwil zaledwie i to w samę północ świętojańskiej doby. Kto go wtedy upilnuje i zerwie, ten posiadł bogactwa nieprzebrane, nieprzeliczone, przed tym ziemia czarna, jak szkło przeźroczyścieje i odkrywa zawarte w sobie skarby. I oto dzięki małemu kwiatkowi każdy chłop prosty stać się może w jednej chwili, bez pracy i mozołu bogatszym nad pany i króle,

porzucić ciężki pług i siekierę ostrą i używać a kupować ziemię, kupować.... choćby pół świata.

Ale też kwiatek ten zdobyć nie łatwo!

Zielonych liści skręconych przed chłodem nocnym pilnuje w owej dobie cały chór duchów tajemniczych, ludzkiemu szczęściu zawistnych. Opadają one śmiałków, czatujących na rozwinięcie się kwiecia, i zmuszają do zamknięcia oczu. Jedne wchodzą w kości i sprawiają znużenie całego ciała, inne siadają ciężarami na powiekach, inne jeszcze wlewają do ucha szmery monotonne, do snu kołyszące. Nie ustrzeżesz się, nie opędzisz! Nie są to duchy tak dobre, iżby przebłagać się dały prośbą, ani tak złe, aby odegnać je można pacierzem. Musisz się zdrzemnąć! rady niema! choć na chwilkę, na chwilkę małą! A właśnie chwila ta mała, w której opadną ci na oczy powieki a na piersi broda, jest chwilą szczęścia, którą przespałeś... Paprocie pod drzewami zakwitły i okwitły. I gdy obudziłeś się... wszystko już przepadło. Jesteś sam w boru ciemnym, biedakiem w siermiędze, nie porzucisz już pługa ni siekiery, ani doli ciężkiej, doli chłopskiej.

Był jednak, jak wieść niesie, chłop jeden, chłop nielada, który przez całą noc świętojańską oka nie zmrużył. Nie zdołały go skusić duchy

złośliwe, nie uległ szmerom, znużeniu i senności. Zwalczył wszystko i o północku wyciągnął garść po łodygę paproci, która obsypała się drobnem, bieluchnem kwieciem. I o dziwo! tuż przed sobą pod nogami nieledwie, widzi chłop, zakopany w ziemi garnek z dukatami; tam dalej biegnie żyła złota, owdzie świeci się srebrna; tam znowu błyszczą rozsypane na glinie dyamenty. I znowu żyły złote i garnki z pieniędzmi... A ile tego jest! przez wiek by nie zliczył... Wnuki, prawnuki na świat cały słynnymi bogaczami zostaną, wszystką ziemię od panów i chłopów wykupią.

I dąży uszczęśliwiony ku domowi, ściskając paprotną łodygę w silnej i twardej garści. Ale ledwo do drogi wioskowej dopadł, oczy mu zaszły nagle jakby ślepotą. Przeciera je... wszakże nie jest ślepy! Nie — tylko ziemia nie jest już przeźroczystą i zdumionemu chłopu czarną rolę pokazuje tylko i kamienie w polach Coto jest! coto jest! A to, głupi chłopie, cudowne ziele okwitło ci w łapie i nie ujrzysz już żył złotych i srebrnych, ani dyamentów po glinie rozsypanych, ani garnków z dukatami. A i te skarby, któreś widział, przepadły dla ciebie! Nie trafisz do nich, boś żadnego znaku nie zrobił... Szedłeś, myśląc o kupieniu całego świata, a tym-

czasem szczęście z rąk ci wypadło! Czemuś znaków nie zrobił? czemu? głupi chłopie!

A jednak pieniądze są w ziemi.... Mówią o tem nietylko młode pastuchy, lecz i starzy ludzie. Pomiędzy ognikami błędnemi, które nawiedzają w nocy chłopskie pola, niektóre oznaczają, rzecz wiadoma, iż to „zakopane pieniądze się palą“. Aby je zdobyć wtedy, dość podejść i przerzucić ognik prawym bótem. Odrazu wysypie ci się na grudę garnek talarów; nadstawiaj poły i nabieraj garściami.

Jeden pastuch miał takie szczęście w życiu, że kilka razy trafił na ognik w takiem miejscu, iż ten nic innego oznaczać nie mógł, jak tylko palące się pieniądze; na nieszczęście jednak... pastuch chodził zawsze boso.

Można się jednak przy tem strasznie złapać. Często bowiem w postaci błędnych ogników skaczą po zagonach i brózdach dusze omentrów, potępione i skazane na to skakanie za fałszywe pomiary gruntów. Na taki ognik niebezpiecznie bótem rzucać. Zażarta bowiem dusza omentry, potępiona, a więc niemająca nic do stracenia, gotowa śmiałkowi łeb ukręcić...

Bezpieczniej daleko wyszukiwać po dniu garnków ze złotem. Było już kilku takich szczęśliwców, co się w ten sposób zbogacili. Dawnemi

czasy, opowiadają dziadkowie, gdy jeszcze nie nastały papierki, coto tysiące można mieć w kieszeni u kamizeli, przeciągały przez nasz kraj Francuzy. Otóż przed nimito panowie, co bogatsi, chowali pieniądze w garnki, które po sadach i polach zakopywali w ziemię. Wtedyto, jako czasu wojennego, niejednego zabili, niejeden zwykłą śmiercią nie umarł, i wiele garnków z pieniędzmi pozostało w ziemi bez właścicieli i wieści.

Na takieto pieniądze trafią nieraz chłopcy, bogacąc się odrazu, dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Nie jeden zaś sagan, obżarty złotemi dukatami, jeszcze ciągle czeka na szczęśliwą rękę. Zapewnie też dotąd nie wydobyto garnka ze złotem, który niewątpliwie leży w ziemi o dziewięć kroków na wschód słońca od samotnej gruszy, stojącej w polu Błażeja Sobonia...

O skarbie tym nie wie ani Błażej, chłop pracowity (ba, gdyby wiedział, nie bolałby go łeb o podatki, ani urodzaje); nie wie też ani Błażejowa, choć taka ciekawa do wszystkiego, ani Franek, brat Błażeja, wyrobnik, który na komornem u obcych siedzi.

Na całym świecie wie o garnku ze złotem, jedna tylko ludzka istota: matka Soboniowa. Staruszka to już zgarbiona ku ziemi pracą i wiekiem, z twarzą żółtą, nieledwie jak szafran i pomar-

szczoną w fałdy. Ważnej tej tajemnicy nie znała jednak długie lata, podczas których grunt był jej własnością, dowiedziała się dopiero przed niedawnym czasem, gdy już samowolnie gospodarzył Błażek, na zapisanych mu rejentalnie przez matkę morgach.

Było to tak...

Na samym końcu wsi, mieszkała stara komornica, którą nazywali powszechnie po imieniu: Urszula. Była ona nadzwyczaj pracowitą, przytem sknerą, niezmiernie chciwą na grosz... To też gadano, iż ma pieniądze. Pewnej jesieni zaniemogła silnie i prosiła o księdza. Po przyjęciu ostatniego Sakramentu, gdy przyszły jeszcze baby odwiedzić ją w ostatnich chwilach życia, zażądała rozmowy samnasam ze starą Soboniową. Skoro pozostały same, wyjawiła jej wielki sekret.

— Moja Soboniowo, ja do pana Boga muszę.... czuję to.... powiem wam więc przede śmiercią rzecz, za którą starą Urszulę, póki życia błogosławić będziecie. Słuchajcie ino uważnie... Mój ojciec był ogrodnikiem u pana, którego dawniej były wszystkie te wsie wokoło. Otóż gdy nadeszła wojna, pan z moim ojcem, co był sługą wiernym, zakopali w ziemi sagan z pieniędzmi srebrnemi i drugi mniejszy ze zło-

temi. Te pieniądze leżą dotąd niewykopane w naszym gruncie.

Soboniowej oczy zaiskrzyły się, jak żarzące węgle na wietrze.

— Co się z panem stało, nie wiadomo. Pono umarł gdzieś w obcym kraju. Mój ojciec też wkrótce pomarł nagle i mnie zostawił wiadomość. Ponieważ pieniądze są głęboko, zakryte przytem kamieniami, w ciągu nocy wydobyć ich nie można... Jedna rada była: grunt kupić. Wtedyto wasz ojciec akurat dostał dział ten przy nadawaniu. Całe życie, jak wiecie, pracowałam usilnie. Grosz do grosza składałam. Rzadko który z ręki wypuściłam. Wybyście grunt sprzedali, bo nie tęgi. Ale za te ośm morgów, trzeba byłoby wam dać pięć tysięcy złotych. Ja, widzicie, ręce urabiałam, całe życie horowałam i zaledwie zebrałam nie całe dwa tysiące... Próżne trudy. Pieniądze moje oddałam proboszczowi na kościoł, za co raz do roku mszę odprawiać będzie, za moję duszę grzeszną. Wam zaś dobry uczynek wyświadczę, co mi policzonem będzie. Możecie pieniądze zabrać, pan ów bowiem potomstwa nie miał i prawa nikt rościć nie może. Uważcież i zapamiętajcież...

Soboniowa w uszach duszę całą skupiła:

— Pieniądze są schowane w ziemi na cztery

łokcie głęboko, o dziewięć kroków na wschód od gruszy, co stoi w waszem polu.

Od owego pamiętnego dnia, który starą Soboniową odmłodził o parę lat, (takiego nabrała wesołego blasku w wygasłych oczach) często wlokła się z trudem w pole; jak tylko dzień pogodny, stara zaraz idzie odpoczywać przed gruszę.

Błażej, widząc, jak matka wlecze się powoli, opierając o płoty, nie szczędził jej wydziwiań:

— Ho! ho! umiecie to spacyrować, a ślkapy to się wam popaść nie chce; jedlibyście ino i spacyrowali, jak szlachcianka.

Syn bo też to był ten Błażej! Taki dobry i usłużny się widział, zanim nie wyłudził podstępnego zapisu, w którym matka skrzywdziła nawet młodszego, Franka. Czego on nie obiecywał wtedy?!.. Matkę na ręku chciał nosić nieledwie. A synowa? jaka miła i przylepna! niczem córka rodzona! A potem — jak tylko od rejenta wrócili, wszystkie czułości jak siekierą uciął. Skąpili jej wszystkiego, byle nie złego słowa. Żądali, ażeby gęsi pędzała, to znów, ażeby nocą szkapę pasła — i to na cudzem jeszcze. Z początku, przez parę miesięcy, krzywili się tylko, bąkali i podawali jej kartofle niekraszone, niby przez zapomnienie. Później jednak mówili jej otwarcie.

— Darmo chleb jeno jecie; pora by wam umrzeć, kiedyście już na nic niezdatni.

Niech tylko stara dla wypoczynku, lub z osłabienia, nie podniosła się którego dnia z łóżka, zaraz synowa dogadywała:

— O! to pewnie z przejedzenia... bo też tak dużo jecie.

A syn zapytywał:

— Może wam posłać po księdza.

Franek, którego oszukano, podczas, gdy służył swoje sześć lat w wojsku, okropnie pomstował po powrocie i kary boskiej, najokropniejszej, jaka być może, wzywał na rodzinę. Uspokoił się później, widząc, że nic nie wskóra. Nawet zachodził czasami do brata najchętniej, gdy go w domu nie było. Wtedy lubował się dokuczaniem starej... Wydziwiał jej łachmany.

— Ho! ho! to ci dopiero Błażek was przyodziewa; widzę, że wam nową kieckę sprawił i to jaksamitną.

Gdy stara lamentowała, słuchał żalów ze złym uśmiechem na twarzy.

— A bije tyż was? Nie? No, poczekajta; niedługo, to i bić was będzie.

Odchodził, porzucając ton szyderczy i wybuchając złością, której lata nie złagodziły.

— Dobrze wam tak! dobrze stara! cierpcie, kiedyście rozumu nie mieli.

Nie miała się przed kim wyżalić, że na ostatnie lata życia poszła w poniewierkę. Nawet wnuki, dwa chłopaki już spore, za nic ją mieli. Byłaby dawno zrobiła tak, jak inne staruchy robią, po proszonym chlebie poszła, ale nogi już nie służyły. W dzień, dwóch wsi by nie obeszła. To też śmierci, której wyglądali syn i synowa, sama pragnęła. Nie przychodziła jednak, a życie stało się nieznośnem.

Spróbowała raz poskarżyć się proboszczowi. Wezwał do siebie Błażeja i zgromił go trochę. Chłop słuchał pokornie słów księdza, obracając czapkę w rękach; po powrocie zaś do domu wyrzucił łóżko matki z izby do ciemnej i zimnej komory i zagroził, że starą głodem zamorzy. Smutny jej byt tak się pogorszył jeszcze, iż wyrzekła się wszelkich skarg. Nie żaliła się już, nawet do sąsiadek, w obawie gniewu syna, który pięści zaciskał, gdy był zły na nią... W zniedołężniałem ciele zachowywała jeszcze dosyć czerstwe myśli. Cierpiała nad niewdzięcznością dzieci i żałowała zapisu, którego już nie można było cofnąć.

To też od owego dnia, gdy Urszula zwierzyła jej tajemnicę, doznała ulgi w swojej doli.

Poczuła się bogaczką, możną, prawie wszechwładną. Pragnąc spokoju tylko i trochę słusznie należących się wygód, na razie chciała je okupić zakopanemi skarbami. Chciała powrócić dla siebie szacunek obu synów i synowej, widzieć jak do nóg jej przypadną, gdy powie im:

— Wasza matka, którą poniewieraliście, jeszcze na wiele się przyda; idźcie tylko pod gruszę, zróbcie dziewięć kroków na wschód...

Ale powstrzymała się... Przez kilka dni rozmyślała. Wreszcie postanowiła.

— Nie, nie!

Sprawiło jej to jeszcze większą ulgę. Była bogatą nie pieniędzmi, lecz zemstą. Lata poniewierki obok samolubstwa starości, wyziębiły wszystkie iskry przywiązania jej do dzieci. Nienawidziła ich nawet i to było ostatnie jej ludzkie uczucie.

Od chwili tego postanowienia, sił starej przybyło. Nie odczuwała prawie przykrości, jakich nie szczędziła jej cała rodzina. Jej usta wąskie, z zaciśniętemi przez starość wargami, poza któremi było już tylko parę żółtych zębów, milczały; byłoto zemstą, która uprzyjemniała ostatnie lata jej życia. Nawet nogi mniej się teraz uginały pod nią... Mogła odbywać ulubione swoje przechadzki, wyszydzane przez Błażeja, pod gru-

szę, gdzie skulona, oparta o pień, wygrzewała się godzinami na słońcu, z twarzą zwróconą do wschodu.

Stała się milczącą, co z ukontentowaniem zauważył Błażej, śledzący zaniki jej życia.

— Stara już prawie nie gada!

Prawie nie gadała. Skulona w swoich szmatach, brudnych i porozrywanych, siadywała na małym stołeczku u progu komory, bezmyślnym wzrokiem patrząc w okno. Słuchała jednak tego, co się działo w izbie. Błażejowi źle się wiodło. Raz padł mu koń.... Nieurodzaje wtrąciły go w lichwiarski dług, z którego nie mógł wybrnąć. Na jesieni kręcił się jak w ukropie, zbierając w szmatę pieniądze na podatki. Był zły, upijał się i bił żonę, która nosiła siniaki na plecach od twardych jego pięści. Pewnego razu, gdy zbrakło do „podatku“, zmuszony był krowę wyprowadzić na jarmark. Obwiązał sznurek wokoło rogów, i popędził kijem, podczas gdy synowa przy kominie tarła oczy czerwonym fartuchem. Stara nie poruszała się na swoim stołeczku.

Franek nie przestawał starej źle życzyć. Zasmakowawszy w próżniaczej żołnierce, ze wstrętem brał do ręki siekierę. Nie było dla niego nic bardziej przykrego, jak praca, bez której jednak mógłby zdechnąć z głodu na progu domu

„bogatego brata“. Pracował więc nie tyle na strawę, ile na półkwarcie wódki na niedzielę, przy którem nabierał rezonu, mówił o polityce i umizgał się do dziewcząt.

Obu było źle... Stara patrzyła na ich nędzę. Jej wzrok pozornie obojętny, mówił im często mową, której, niestety, nie rozumieli:

— Gdybyście byli inni, złotem i srebrem bym obsypała. Ty, Błażeju, mógłbyś trzy wsie kupić! Ty, Franku, całe życie w rozkosznem próżniactwie przepędzić... Ale nie stanie się to nigdy! Tak, nigdy!

Czuła się szczęśliwą w swojej nędzy i we władzy, której nikt się nie domyślał.

I pozostała taką do końca.

Pewnego razu nie wstała z łóżka. Zaniemogła. Przeleżała trzy dni... Czwartego poprosiła, ażeby sprowadzili kogo, coby jej zażegnał chorobę.

— Och! — rzekł Błażej — wybyście chcieli żyć wiecznie.

Nie odpowiedziała nic na to... Miała jednak nadzieję, że wyjdzie. Mówiła półgłosem o wyzdrowieniu, po którem pójdzie przejść się pod gruszę. Wkrótce jednak stan jej pogorszył się tak, że uwierzyła, iż umrze. Raz jeszcze stoczyła ze sobą walkę, w której nienawiść zwyciężyła

instynkt zachowawczy, stargany już długiem życiem. Gdyby słówko powiedziała, pięć bab sprowadziliby do zażegnania; doktora by przywieźli z miasteczka. Wolała jednak umrzeć, uparłszy się w zaciętości starej chłopki. Straciła wreszcie przytomność i wtedy dopiero przez usta jej wyszły urywane słowa o skarbach zakopanych....

Słów tych nikt nawet nie słuchał.

Cóż ciekawego może pleść ta stara w gorączce? Gdy umarła, syn i synowa uczuli, iż przybyło miejsca w ich izbie. Na razie dotknięci przerażającem wrażeniem śmierci, wkrótce wdzięczni jej byli, że zabrała matkę, która tylko zawadzała na świecie.

Stara umarła wraz ze swoją tajemnicą.

Dwa sagany więc, jeden ze srebrem, drugi mniejszy ze złotem, o dziewięć kroków na wschód od Błażejowej gruszy, są do wykopania...

Z DZIENNICZKA KOBIETY

. . . .

Na pożegnanie podaliśmy sobie ręce, i zdawało mi się, że uścisk jego trwał dłużej, niż pana Alfonsa, pana Jana i ich tam wszystkich. Stanęłam przy drzwiach za portyerą i dostrzegłam, iż odwrócił się, stając na schodach. Cofnęłam się natychmiast, ale podobno zobaczył mnie. Jakaż niezręczna sytuacya!

Jeżeli jednak nie przyjdzie, i to wkrótce, nie będę się już nigdy niczego domyślała.

Następnego dnia.

Jakżeto się szybko stało! Wczoraj byliśmy obcymi dla siebie, a dziś.... Nie, nieprawda, znaliśmy się trochę. Czytając jego utwory, widziałam ustawicznie przed sobą tego, który mówił i czuł za tych wszystkich ludzi. I on również znał mnie. Sam wyznał mi, że, gdy pisze, to zdaje

mu się, iż robi to dla jakiejś jednej jedynej osóbki, ubranej w mgłę, przez którą wyraźnie widzi niebieskie oczy. Ma bardzo ładny sposób wyrażania się. Nie muszą to być zwykłe grzeczności, które można mówić z jednakowym uśmiechem każdej kobiecie.... Ach! nie mogę pisać, nie mogę siedzieć spokojnie na jednem miejscu...

Po chwili.

Czuję, iż przeniewierzę ci się, mój pamiętniku! Mój prawdziwy przyjacielu z lat dziecinnych. Ale widzisz, tego niemożna opisać; na to trzeba sztuki, która jest odrębnym darem Boga. To potrafią tylko poeci. Czuję, iż za chwilę rzucę znowu pióro. Chce mi się płakać!.. nie wiem, dlaczego.... Łzy mi się kręcą. Ale to są łzy takie jakieś lekkie. To są łzy wesołe, śmiejące się, — to łzy szczęścia!

Kocham. Kocham. Kocham. Kocham...

Miłość!... a więc to jest miłością...

Za miesiąc.

Miesiąc cały nie napisałam ani jednego słówka w pamiętniku. Na biurku już dwa listy mojej ukochanej Kloci spoglądają na mnie z wyrzutem. Co ona sobie pomyśli o mnie? Nie mogę pisać.

Obecnie wzięłam pióro do ręki, zastraszona poważną obawą, czym nie zapomniała ortografii.

Nasz stosunek nie wymaga wcale korespondencyi. Zygmunt przepędza u mnie wszystkie wolne chwile. Jeżeli którego dnia nie przychodzi, nie niepokoi mnie to wcale. Jestem pewną, iż przyjść nie mógł. Zresztą wynagradza mi to w taki sposób, iż ani na chwilę nie mogę się utrzymać w roli zagniewanej.

Pewnego razu wpadłam na doskonałą myśl. Zygmunt pracuje bardzo wiele, bądź u siebie w domu, bądź w redakcyi, gdzie ma oddzielny pokój. Otóż urządziłam mu gabinet do pracy z mojego małego saloniku. Ustawiłam biurko, fotel, kosz do papieru i przeniosłam tu wszystkie moje szafki z książkami. Byłam zachwyconą pomysłem, który mi pozwalał zatrzymywać Zygmunta u siebie kilka godzin więcej codziennie. Ale Zygmunt nie ucieszył się tą niespodzianką tyle, ile przypuszczałam.

— Czy myślisz, — rzekł — że ja potrafię pracować tu, gdzie będę słyszał twoje kroki przez ścianę, gdzie będę czuł twoję obecność tak blisko, iż dość mi będzie przejść przez jedne drzwi, ilekroć razy zapragnę cię uścisnąć...

— Ależ ja — odrzekłam — nie mam zamiaru być oddzieloną od ciebie ścianą. Tu, przy

twojem biurku siedzieć będę na krześle i czytać książkę; a ilekroć razy zapragniesz mnie uścisnąć, nie będziesz potrzebował nawet podnosić się z fotelu.

Pocałował mnie, ale oświadczył potem, że z trudnością przyjdzie mu składać hołdy dwom boginiom przy jednym ołtarzu.

— Och, — rzekłam z przekąsem — czy nie możesz żyć bez pisania?

— W samej rzeczy, — odrzekł — inaczejbym żyć nie mógł.

Od tej chwili nie byłam już zazdrosną o literaturę. Zygmunt przyzwyczaił się pisać w urządzonej przeze mnie pracowni, choć z początku przychodziło mu to z trudnością. Obecnie jednak najlepsze rzeczy tu mu się udają. Twierdzi, że nigdy nie pisał tak wiele i tak dobrze. Ja zawsze siedzę przy jego boku i trzymam w ręku książkę, otwartą na dziewięćdziesiątej drugiej stronie. Książka, którą czytam, jestto, — zaraz zobaczę — „Ten mały“ Daudet'a. I przepędzamy w ten sposób trzy godziny dziennie, nic nie mówiąc. Jestem pewną, że, gdyby kto tak patrzył na nas przez okno, pomyślałby, iż to są dwie chińskie porcelanowe lalki, kiedyniekiedy odwracające głowy pod naciskiem niewidzialnej sprężynki.

A jednak jestto tak urocze!

Mój salonik był mi zupełnie zbytecznym. Nieliczni moi goście doskonale mieszczą się w dużym salonie. Mogłabym w nim przyjąć pięć razy więcej osób. Ale nie lubię wizyt. Ile tylko razy mogę, „nie jestem w domu".

Ale dosyć już tego. Przecież nie zapomniałam ortografii.

Dnia 12-go maja.

W tej chwili wróciliśmy z wycieczki na wieś. W tym roku pierwszy raz wyjrzałam za mury miasta. Odbywam corocznie tę podróż, trwającą trzy godziny, licząc już i powrót. Przeszłego roku wyjechałyśmy obie z Klotyldą. Zrobiłyśmy ośm wiorst w otwartym powozie i wróciłyśmy z ogromnemi bukietami polnych kwiatów. Namiętnie lubię wszelkie wycieczki na wieś, nietrwające dłużej nad jeden dzień. Szczególnie pierwsze spojrzenie za rogatkę budzi w mojej duszy jakieś dziwne wrażenie.

Porusza mnie to, jak prześliczna jakaś niepochwycona muzyka barw i tonów, podczas gdy nie widać ani kapelmistrza, ani drewnianej estrady; nie czujesz nużącego gorąca gazu i nie słyszysz hałasu oklasków.

Po dzisiejszej wycieczce obiecywałam sobie bardzo wiele, ale zawiodłam się

Zygmunt nie lubi wsi, a zbieranie kwiatów polnych na łące uważa poprostu za głupstwo. Pomimo to, zrobiłam z nich bukiet, podczas gdy on zapisywał w notesiku wrażenia swoje, mające być zużytkowane w powieści, którą pisze właśnie. Otoczyłam bukiet kołnierzykiem z trawy i dałam mu do powąchania.

— Czy jeszcze śmiesz utrzymywać, że to nie piękne?

— To urocze, — odrzekł — od chwili, gdy trzymasz te kwiatki w rączce.

Wróciliśmy do miasta bardzo prędko.

Wogóle zauważyłam, że usposobienia nasze różnią się. Niema jednak w tem nic złego. Kto wie? czy to, co pociągnęło nas ku sobie tajemniczą siłą, nie jest ta różnica właśnie.

Zygmunt jest całą duszą artystą-literatem. Jest poważnym, surowym, głębokim. O formę dba tylko w swoich powieściach. W życiu jest trochę szorstkim. Jakże wyróżnia się od tych eleganckich, bezbarwnych, paplających paniczyków, którzy się zbierają co środa w moim salonie. Na pierwszy rzut oka znać w nim człowieka siły i prawdy, który nie robi nic innego, tylko to, co mu sumienie każe. Nawet komplementy, które mi kiedy-

niekiedy mówi, zupełnie różnią się od tych, któremi karmią mnie ci panowie. Czuję szczerość w każdem drgnięciu jego głosu. Te banalne frazesy, przechodząc przez jego usta, stają się tak nęcącemi, tak ułudnemi, że wierzę przez jednę chwilę czaru, iż oczy moje są gwiazdami, a głos dźwiękiem anielskiej mowy.

Później śmieję się z tego, ale nie byłabym zadowoloną, gdyby mi tych wszystkich niedorzeczności zapomniał powtórzyć którego dnia.

Zygmunt wychował się na wsi; może być, iż dlatego te powaby, które mają dla mnie tyle uroku, prześlizgują się po jego duszy, jako wrażenie powszednie, codzienne. To też kiedy odchodząc, zapytał: „Czy sprawiłem ci dzisiaj wielką przykrość?“ — odrzekłam:

— Czy wiesz dlaczego ja cię tak kocham, Zygmuncie? Oto dlatego, że masz odwagę być innym, niż wszyscy.

Dnia 15-go maja.

Wyczytałam dzisiaj w jakiejś książce zdanie, które nabawiło mnie strachu na całe trzy sekundy. Wczoraj, usypiając, rzuciłam sama sobie pytanie, po którem natychmiast usnęłam, tak jak gdybym od snu zażądała odpowiedzi. Co jest, myślałam, w tym człowieku, który poruszył we

mnie cały świat uśpionego szczęścia? Czy pokochałabym kogokolwiek, gdyby się nasze drogi były rozminęły, gdybym go nie poznała? I oto co dzisiaj rano przeczytałam: „Człowiek, który zastanawia się nad swoją miłością, nie kocha już“.

Więc ja już nie kocham Zygmunta? W takim razie nigdy go nie kochałam, gdyż od miesiąca, od owego dnia, kiedy drżącemi ustami powiedziałam mu po raz pierwszy w życiu: „Kocham“, nic się we mnie nie zmieniło. Zawsze jednakowo drżę na odgłos zbliżających się jego kroków, jak w tej chwili.

Wszedł; rzuciłam mu się na progu na szyję i rzekłam:

— Kocham cię, Zygmuncie!

On, zdziwiony takiem „dzień dobry“, spojrzał na mnie wzrokiem, żądającym wyjaśnienia tej niezwykłej czułości. Przyprowadziłam go wtedy za rękę do stołu, wskazałam palcem na ten ustęp i rzekłam wesoło:

— Patrz, jakie się nieraz kapitalne brednie udają najlepszym znawcom natury ludzkiej.

Dnia 25-go maja.

Nie, stanowczo Zygmunt jest za bardzo literatem. Przekonałam się o tem wczoraj. Przybył

do Warszawy mój stryj, „stryjcio Boleś“, jak go wszyscy nazywaliśmy. Kochany stryjek, który mi dawał lekcye konnej jazdy, z początku na swojem kolanie, a następnie na prawdziwym, prześlicznym karym kucyku! Zawiązywałam zawsze supełki na jego długich polskich wąsach. Od czasu, kiedy stryjenka umarła na zapalenie płuc, zaziębiwszy się na jakimś balu, nie wyjeżdżał ze wsi, a to już będzie siedm lat, jeżeli nie więcej. Opowiadał mi, jak zawzięcie gospodaruje na wsi, jak wstaje wcześniej od ekonoma i że innego obuwia nie zna, tylko długie bóty. Zrozumiałam go. Biedny człowiek! Ogłusza się, chcąc zapomnieć... Bardzo kocham tego stryjka Bolesia. On jeden pozostał z naszej rodziny. Jestem przekonaną, że i on mnie kocha. Pisuje do mnie bardzo długie listy; zresztą kogożby kochał? Nie ma wcale dzieci.

Rada byłam, że zaznajomię Zygmunta z tym poważnym człowiekiem, który tak wiernie potrafił kochać wspomnienie swej żony. Po przedstawieniu ich sobie, zostawiłam samych w salonie. Pragnęłam, ażeby ci dwaj ludzie zbliżyli się do siebie. Byłam pewną, że uczują wzajemną ku sobie sympatyą. Ułożyłam już sobie, że, gdy stryjcio Boleś powie mi na ucho: „To człowiek, bardzo przyjemny“, odpowiem mu również cicho:

„Stryjku, to człowiek, którego ja kocham“. Zygmunta zaś, którego wtajemniczyłam trochę w tę rzewną historyą, postanowiłam zapytać: „Czy potrafiłbyś, mój panie, kochać tak, jak on?“

Umyślnie opóźniłam powrót, a gdy nareszcie weszłam do salonu, stryj odrazu wstał i pożegnał nas oboje. Powiedział, iż właśnie uderzyła godzina, o której przyrzekł kilku osobom być u siebie, w hotelu. Po jego wyjściu zapytałam Zygmunta:

— I cóż? Jakże ci się podoba mój stryj?

— O, tak, — odrzekł — jestto doskonały — *typ*.

Dziś pytałam stryja, który nocnym pociągiem miał odjechać na wieś, jak mówił, na drugie siedmiolecie, jakie wrażenie zrobił na nim Zygmunt.

— Bardzo wykształcony człowiek, — odrzekł, ale takim jakimś chłodnym tonem, że nie śmiałam powierzyć mu swej tajemnicy.

Od pewnego czasu Zygmunt nic nie może pisać. Podobno dla artystów przychodzą takie chwile, w których każde pociągnięcie piórem lub pendzlem jest fałszywe. Zygmunt, który wie to z doświadczenia, postanowił te chwile przeczekać. Nie bierze on pióra do ręki z obawy, ażeby nie stworzyć coś karykaturalnego. Przychodzi

jednak do swej pracowni i cały czas, przeznaczony na pracę, spędza na próżniactwie. Jestto zajęcie, w którem mu jestem prawdziwie pomocną. On siedzi w fotelu przy biurku, ja na krześle z drugiej strony, i opowiadamy sobie tysiące rzeczy. Zygmunt jest rzeczywiście bardzo wykształcony, i to wykształcony gruntownie. Takie rzeczy widać odrazu. Ale wykształcenie jego jest skierowane w jednę stronę. Wszystko, co się stało, co się dzieje, co się dziać będzie w przyszłości, wszystko to było, jest i będzie *literaturą*. Opowiadał mi raz, w jaki sposób przy zastosowaniu literatury do historyi osiągnięto olbrzymie rezultaty dla nauki. Rzeczywiście, to, co mówił, było bardzo przekonywające. Czułam się porwaną jego myślami i zdawało mi się, iż zapuszczam oko bardzo daleko w przyszłość, w jakiś świat obcy dla mnie, choć tyle czasu uczyłam go się poznać. Niegdyś miałam rzymską piątkę z plusem za historyą powszechną.

Pragnęłabym zrobić nową wycieczkę na wieś. Na świecie już wiosna w całej pełni swego uroku. To też sądzę, że jedno spojrzenie na pola i lasy obudziłoby nanowo natchnienie w Zygmuncie. Podsunęłam mu tę myśl, ale zdaje się jej nie podzielać.

Dnia następnego.

Apatya artystyczna Zygmunta trwa ciągle. Obliczyliśmy, że to już dziesiąty dzień leży na biurku ten sam pusty arkusz papieru. Wtajemniczyłam go wtedy w mój sposób czytania książek bez przewracania kartek.

Tego dnia nie mówiliśmy wcale o literaturze.

Następnego dnia.

Nie pojmuję, dlaczego Zygmunt staje się coraz więcej rozdrażnionym. Czyż nie jest tak szczęśliwym miłością, aby czuć się wynagrodzonym za wszystko inne? Czyż nie czuje tyle, co ja?

Następnego dnia.

Dziś, odchodząc, Zygmunt obiecał mi przeczytać tę swoję powieść, której nie może dokończyć. Mówił z uśmiechem, że spodziewa się ode mnie, iż mu podam dalszy ciąg, i że zrozumiem, dlaczego powieść nie postępuje. Zaciekawiło mnie to bardzo.

Żałuję, iż ten doskonały projekt nie przyszedł mi nigdy do głowy. Nie wiem doprawdy, jakto się stało, iż nigdy nie prosiłam Zygmunta, ażeby pokazał mi, co pisze. Obawiam się, czy nie wziął mi tego za złe. Zdawał się zawsze przywiązywać wielką wagę do mojego zdania o każdym dru-

kowanym jego artykule lub powieści. Obiecuję się poprawić pod tym względem na przyszłość.

Tytuł tej powieści, którą ma mi jutro czytać, jest: „W maju“.

Jaki ponętny, jaki obiecujący tytuł!

Następnego dnia.

Ależ on mnie nie kocha! Nie kocha mnie wcale, ani trochę! On mnie nigdy nie kochał!

Jestem tego pewną. Ta powieść — to historya naszej miłości. Och! to jest jej grób raczej!

Jakiż chłód wieje z tych kartek! Więc on widział, żem bladła i przymykała oczy, gdy ustami swemi dotykał mego czoła? Więc on czuł, żem drżała, słabła i całym ciężarem opierała się o jego ramię, gdy brał mnie w swoje objęcia. A ja, — ja wtedy traciłam zmysły, nie wiedziałam nic, co się ze mną i wokoło mnie dzieje!...

A więc także byłam dla niego tylko *typem!* Studyum z natury!

Postanowiłam natychmiast wyjechać, nie widzieć go już nigdy w życiu! Nie przyjąć go, gdyby przyszedł!

Ale nie. Ten człowiek mnie nie okłamał. On raczej oszukiwał sam siebie, że to, co uczuwa, jest miłością. Nie kochał nigdy i pierwsze uczucie życzliwości wziął za ten święty ogień.

A choćby mnie oszukiwał? Czyż nie powinnam mu być wdzięczną za kilka chwil szczęścia, najwyższego, jakie dostępne jest dla ludzi?!

Słuchałam w odrętwieniu jego powieści, historyi tej Maryi, którą miałam być *ja*, i tego Wiktora, którym miał być *on*. Nie rozumiałam dobrze, o co tym ludziom chodziło. Pojęłam jednak tyle, ile mi było potrzeba. Musiałam być zmienioną, gdyż kilkakrotnie zapytywał, co mi jest. Wkońcu nie mogłam słuchać dalej tej ohydy. Odrzekłam, iż czuję się słabą. Odszedł, pocałowawszy mnie we włosy, jak zwykle. Jestem przekonaną, iż pomimo całego „daru obserwacyi" nie dostrzegł, co się we mnie działo. Po jego wyjściu zalałam się łzami. Ale to nie były te łzy, któremi płakałam tak niedawno jeszcze. Płakałam długo, a jednak ciężar jakiś, gniotący mnie, nie spadł z piersi tak jak łzy, z moich oczu.

Nie kocha mnie!

Cóż z tego? ja — kocham go zawsze.

W kilka dni potem.

Zygmunt przebył nakoniec przesilenie i dziś napisał cały rozdział swojej powieści. Chciał mi odczytać go zaraz, ale prosiłam, żeby wstrzymał się do ukończenia całego dzieła. Upozorowałam to rozerwaniem wrażenia.

Pogodziłam się już z moim losem.

Cóż mi innego pozostawało do zrobienia? Czy miałam czynić mu wyrzuty! Przekonywać go o tem, że jego słowa i pocałunki kłamią? Żeby uwierzył w to, co dla mnie jest okropnie jasnem! I żeby nigdy tu już nie przyszedł? Czyż miłość jest handlem, w którym każda strona daje tyle, ile otrzymuje od drugiej?

Zygmunt jest szczerym. Oszukuje on nas oboje. Zresztą wierzę w jego sympatyą i życzliwość, a to, – to musi mi już dziś wystarczyć, skoro nie może być inaczej. W tej chwili przypomniałam sobie zdanie, z którego niedawno tak się śmiałam. Teraz dopiero widzę, ile w niem jest prawdy!

W kilka dni później.

Wzbogaciłam dziś umysł swój nową zdobyczą z „teoryi literatury".

Zygmunt mało dziś pisał i cały wieczór miał wolny. Rozmowa nasza weszła na tor przeszłości. Opowiedziałam mu historyą mojego biednego ojca. Zginął w pojedynku, zabity przez nikczemnika, który ośmielił się był rzucić słowo, znieważające honor mojej matki. Jeszcze dziś po tylu latach nie mogę bez łez wspomnieć o tej chwili, kiedy nam przywieziono w karecie — trupa. Dziś

wszakże dopiero dowiedziałam się, co to wszystko było.

Była to — „piękna sytuacya“.

Nazajutrz.

Dziś rozmawialiśmy wiele o wczorajszem opowiadaniu. Niesłusznie posądziłam Zygmunta o brak serca. Zrozumiał on lepiej boleść córki po stracie ojca, niż sądziłam pierwotnie. Nie było to jednak jego winą, iż na zakończenie tego wszystkiego, obiecał napisać powieść przeciw pojedynkom. Oburzał się na te ślepe sądy boże, gdzie o słuszności sprawy rozstrzyga zręczność we władaniu bronią.

Jakże pięknym był w tej chwili!

Każde jego słowo znajdowało pokrewny dźwięk w mojej duszy. O, tak. Niech napisze taką powieść! Ona jest potrzebną! Zygmunta dzieła są bardzo poczytne, i kto wie, ilu nieszczęściom zapobiec może jedna mała książeczka?!

Po tygodniu.

Zygmunt jest w doskonałem usposobieniu. Prowadzi polemikę literacką z jakimś krytykiem. Jest wesoły, gdyż jest pewny siebie. Odczytał mi swoję replikę. Nie posądzałam go o tyle złośliwości. Nadzwyczaj śmiało napada na swego prze-

ciwnika. A przytem cała rzecz pisana jest bardzo dowcipnie i czyta się z przyjemnością.

Nazajutrz.

Przeciwnik odpowiedział. Mniej on zręczny i dowcipny, czuć jednak w nim szczerość przekonania. Przytem jest spokojniejszym od Zygmunta Nie unosi się wcale. Musi być znacznie starszym. Ale ten spokój rozdrażnia Zygmunta i zachęca go do walki.

Publiczność zainteresowała się tą polemiką, do której coraz więcej osób zaczyna należeć. Jedni biorą stronę Zygmunta, inni jego przeciwnika.

Zygmunt napisał odpowiedź, nad którą pracował całe rano. Podług mnie jest ona zbyt gorączkową, namiętną, wreszcie zbyt osobistą. Więcej tam mowy o przeciwniku, aniżeli o przedmiocie sporu. Jednak Zygmunt uważa ją za doskonałą i nie chce ani jednego słowa z niej wykreślić.

Ta odwaga jego bardzo mi się podoba.

Te energiczne zwroty pióra robią wrażenie rąbania pałaszem.

Kiedy odchodził do drukarni, ucałowałam go w czoło, mówiąc:

— O, ty! mój bohaterze!

Z temi rozpalonemi policzkami, z tym ogniem w oczach, z tą gwałtowną energią w zaciśniętych pięściach był tak pięknym!

Tak tylko bohaterzy wyglądają!

Nazajutrz.

Dziś rano przyszedł Zygmunt wcześniej trochę, niż zwykle. Był pomieszany, gwałtowny, w tak złem usposobieniu, iż nie widziałam go takim nigdy.

Zaraz na wstępie opowiedział mi przyczynę tego niezwykłego stanu. Przeciwnik literacki przysłał mu dziś rano sekundantów, wyzwał go na pojedynek. Twierdził, że został znieważonym.

Zygmunt usiadł na krześle, jak gdyby upadł ze zmęczenia.

Czyto był ten sam człowiek, który przychodził tu codzień od dwóch miesięcy? Którego ja kochałam? Nie, to niepodobna. To chyba kto inny.

Ze złością, burzącą się ciągle, wykrzykiwał zdania o ślepych sądach bożych. O stracie dla społeczeństwa! o zręczności we władaniu bronią. Wszystko to, co mówił mi przed kilku dniami.

Ale ze mną jakieś dziwne rzeczy się stały.

Te zdania, które zapalały mnie wtedy, dziś wydawały mi się takiemi... nędznemi.

Uspokoił się po chwili i wpadł w ton elegijny.

— Jutro o tej porze, — rzekł — może mnie wcale nie będzie na świecie.

Nie spuszczałam z niego oczu. Och! gdyby on był takim, jak wczoraj! gdyby z taką odwagą szedł na pole walki, jak wczoraj do drukarni... Nie przyszłoby do pojedynku! Jabym do niego nie dopuściła; sama przeprosiłabym jego przeciwnika... może do nóg bym mu się rzuciła, gdyby się upierał. Ale teraz... gdy ten bohater drżał na myśl o śmierci...

Więc to lękliwy, słaby, pospolity człowiek, któremu krople potu występują na czoło, gdy spada nań odpowiedzialność za własne czyny. Odważny, gdy siedzi przy biurku w wygodnym fotelu; drżący, gdy zajrzy mu w oczy niebezpieczeństwo.

Długą chwilę milczeliśmy. Nakoniec dałam mu radę, którą mi zły duch musiał podszepnąć:

— Tak, — rzekłam — pojedynek byłby szaleństwem. Napisz list przepraszający.

— Co? przeprosić? poniżyć się! O, nie! nigdy!

— Czyż potrzebujesz się poniżać? Jesteś tak zręcznym, że napiszesz to, nie dając pozoru, iż czynisz to... z obawy. Czyż byłby tak zawziętym ludożercą?

— O! mówią wszyscy, że doskonale strzela.

— A zatem... właśnie. Cóż za szansa narażać się na śmierć pewną?

Milczał chwilę.

— Tak, — rzekł nakoniec, wstając — dziękuję ci za radę. Serdecznie dziękuję. Rada, którą podyktowało kochające serce, nie może być złą. O, moja najdro...

— Ależ śpiesz się. To ważna sprawa. Tu leży listowy papier.

Wahał się jeszcze. Spojrzał mi parę razy w oczy z niepokojem. Zdobyłam się na uśmiech, który go oszukał. Pragnęłam koniecznie, ażeby napisał ten list. Nie kochałam go już wcale Spadł nagle tak nisko! Ale, przyznaję, uczuwałam w sobie coś w rodzaju zemsty. Tyle wycierpiałam, kochając go! Teraz — świat odrazu jakoś zmienił mi się w oczach. Stał się pustym, zimnym, jak grób. Ale wydało mi się to wszystko zupełnie naturalnem. Sama byłam zimną i czułam pustkę w sobie. Czułam chęć wybuchnąć śmiechem. Śmiać się z czegokolwiek, a najwięcej z wczorajszych złudzeń.

Zygmunt skończył list i podał mi do przeczytania.

Znakomicie był napisany ten jego nowy artykuł literacki.

— Jeżeli chcesz, — rzekłam — sama każę go odesłać.

Zadzwoniłam na lokaja i kazałam mu natychmiast doręczyć ten list podług adresu.

Tegoż dnia wieczorem.

Za chwilę wyjeżdżam za granicę. — Sama nie wiem, dokąd. Rzeczy już są spakowane. Dzienniczek wkładam do torby podróżnej.

. . . .

. . . .

Urywek z tegoż dziennika w trzy lata później.

Dziś spotkałam Zygmunta w ogrodzie Saskim. Poznał mnie Na razie zmieszał się, ale po chwili z pewnem wahaniem sięgnął ręką do kapelusza.

Jest on dziś bardzo sławnym, i ciągle spotykam się z jego nazwiskiem. Odpowiedziałam na jego ukłon przyjaznem skinieniem głowy. Wszak to trzy lata już upłynęły od czasu, gdy... Nie mam żalu do niego. To raczej była moja wina..

Nie chciałabym jednak spotkać się z nim kiedykolwiek. Straciłam na zawsze szacunek dla człowieka, który przez całe swoje życie był tylko — literatem.

WŁASNĄ PRACĄ...

Zupę spożyto w milczeniu; gdy jednak nastąpiła przerwa, wskutek oczekiwania na danie następne, pan Mateusz rozpoczął zwykłą swoję piosenkę.

Uśmiechając się dobrodusznie, zaczął bawić gościa przypominaniem tych swoich czasów, kiedyto na obiad nieraz suchy kawałek chleba musiał mu wystarczyć. A nieraz i chleba brakło... Teraz jest „na wozie“, długi jednak, bardzo długi czas był „pod wozem“. Wszystko bowiem zawdzięczał sobie samemu, wszystko zdobył własną pracą, tak, *własną pracą*.

— Mój ojciec zostawił mi tyle.

Tu pan Mateusz tłustą swoję rękę ułożył we figę.

— Zkąd zresztą, proszę pana, mógł co zostawić? Był on sobie poczciwym, ale biednym szewcem w Żarnowcu. Ja się tego nie wstydzę.

Proszę pana, ja sam, mając lat dziesięć, byłem sobie szewczykiem z powalanemi smołą rękami. No, — a dziś!

Umilkł na chwilę, nakładając na talerz różowy plaster rostbefu.

Z przerwy tej korzysta gość, aby uśmiechnąć się grzecznie i powiedzieć krótkie a pochlebne:

— Ba!

Pan Mateusz uśmiecha się zadowolony i z apetytem pakuje w usta duży kawałek mięsa. A skoro tylko usta odbyły swoję powinność względem tego przybysza i stały się zdolnemi do mówienia, prowadził w dalszym ciągu rozmowę o przedmiocie jedynym, o jakim mówić umiał.

Opowiadał szczegóły tej ciężkiej drogi do majątku, którą przebywał *własną pracą*.... Mówił o tem lub owem, bez systematycznego porządku, w miarę, jak przedmiot jakiś nasunął mu na myśl zestawienie z przeszłością.

Podano jarząbki.

To przypomniało panu Mateuszowi w jaki sposób żywił się przez czas dłuższy.

Byłoto już w Warszawie. Wstawał rano, jednocześnie ze stróżami, którzy wychodzili zamiatać ulice i zbiegał z czwartego piętra z flaszką w ręku. Na rogu ulicy stawała zwykle wiejska baba z blaszankami pełnemi mleka.

— Kupowałem, proszę pana, tego mleka pół kwarty za sześć groszy. Pan nie wie z pewnością, coto jest warszawskie mleko za sześć groszy pół kwarty? Nie ma pan pojęcia, coto za obrzydliwość! Wchodzi tam woda, dużo wody, i wapno, i potaż, i Bóg wie co jeszcze...

Rozmowa staje się tak interesującą, że zasłuchany gość przestaje jeść jarząbka i odsuwa od siebie talerz.

Otóż takieto mleko kupował pan Mateusz w swoim czasie. I do takiego mleka dolewał drugie tyle wody. Do tego kupował dwie suche bułki i stanowiło to całodzienne jego pożywienie. A wtedy już był na dobrej drodze, robił bowiem znaczne operacye surową wełną. Wełna dała mu tysiące, wszyscy to wiedzą, jak wiedzą i to, że dorabiał się nią uczciwie.

— I wie pan co? — ciągnął dalej — że to mleko z suchemi bułkami smakowało mi nieraz lepiej, niż obecnie te jarząbki. Dlaczego pan ich nie je? Wszak są doskonałe... I w ten sposób, proszę pana, za dziesiątkę żyłem cały dzień. To na miesiąc, proszę pana, wypadnie dziesięć złotych. Dziesięć złotych na cały miesiąc. A dziś?... Dziś, proszę pana, jeden taki obiad, jaki jemy, kosztuje — przeszło dziesięć rubli.

Gość uśmiecha się i udając grzecznie zdzi-

wionego i pełnego uznania dla opowiadanych nadzwyczajności, usiłuje rozmowę sprowadzić na inne tory. Ale usiłowania to daremne. Pan Mateusz co chwila znajduje nowy przedmiot, który mu przypomina jakto było dawniej, gdy *własną pracą...*

Właśnie legumina przypomina mu ciastko, które raz zjadł kiedyś i którego wspomnienie łechtało mu podniebienie przez całe lata.... szczególnie gdy przechodził koło wielkich szyb cukierni. Nie dał się jednak skusić i nie pozwolił sobie nigdy na żaden zbytek. Ba! inaczej nie miałby tego *wszystkiego,* co dziś posiada.

Skończył się wreszcie obiad i zapalono cygara. Gość stracił humor, puszcza gęste kłęby dymu. Przestał już potakiwać i nawet udaje roztargnionego, w nadziei, że choć na końcu gospodarz obdarzy go najlepszem ze wszystkiego: milczeniem. Ale niestety! Cygara przypominają właśnie panu Mateuszowi, używaną przez tyle lat... machorkę.

Gościowi, który trzyma w ustach wyborne cygaro, zdaje się, że uczuwa jakiś wstrętny smak na języku. Spluwa więc.

— Coto? nie smakuje panu? — zapytuje troskliwie pan Mateusz. — To są prawdziwe hawana, oryginalne. Teraz innych nie palę.

Gość wychodzi wreszcie, znużony i znudzony, głodny po dobrym obiedzie i czując niesmak w ustach po doskonałem cygarze.

Wogóle rzadko kto odwiedza pana Mateusza. Zaproszenia jego, któremi szafuje na każdym kroku, przyjmują ci tylko, którzy mają w tem jakiś interes. Pomimo też majątku swego, pan Mateusz nie jest chętnie przyjmowanym. Towarzystwo jego przez krótki czas śmieszy, potem nuży, a w większem gronie kompromituje.

Jestto miły człowiek, którego jednak unikają; gościnny, do którego idzie się z musu; uczynny, z którego usług korzysta się z konieczności.

Gdy jedzie powozem, zabiera po drodze znajomych. Mówi im, „że lepiej jest najgorzej jechać, niż najlepiej iść“. Następnie, uradowany, że ma do kogo mówić, z wiecznym swoim dobrodusznym uśmiechem na twarzy, dotykając co chwila końcami tłustych palców kolan słuchacza, opowiada o podróży swojej z Żarnowca do Warszawy. Miał wtedy lat kilkanaście i szedł piechotą, całego kapitału mając głęboko ukrytą w kieszeni srebrną błyszczącą czterdziestówkę. Bóty mu się zdarły; szedł dalej boso. Czterdziestówkę zaś rozmienił nie pierwiej, aż z głodu i znużenia omdlał przy jakimś płocie.

Goście, którzy odwiedzać go raczą, sprawiają

mu tem wielką przyjemność. Przyjmuje ich w przedpokoju z uśmiechem wielkiego zadowolenia i za obie ręce prowadzi do salonu.

Każdego, kto odwiedza go po raz pierwszy, oprowadza po mieszkaniu. Obszerny to apartament, którego pan Mateusz nie umie właściwie użyć. Sypialnia i jadalny pokój wystarczają mu zupełnie na jego własne potrzeby. Posiada jednak oprócz tego i salon i gabinet. Dużo tu pojedyńczych sprzętów wysokiej wartości; w całości brak harmonii. Jest tu pianino, na którem nikt nigdy nie grał, duża biblioteka ładnie oprawnych książek, których nikt nie bierze do ręki, bogate rzeźbione biurko, przy którem nikt nie pracuje. W salonie wisi kilka obrazów oryginalnego pendzla, a w gabinecie imponuje portret gospodarza, osadzony w bogatych ramach, a malowany przez Horowitza.

Wszystko to sprawia mu o tyle tylko satysfakcyą, o ile jest podziwiane przez gości.

Ten mały, tłuściutki dorobkiewicz ma jednak oryginalny sposób zwracania uwagi na swoje bogactwa, oprowadzając bowiem gości po zbytkownie umeblowanych pokojach, opowiada o tem, jak przez lat dwadzieścia niemal mieszkał na poddaszu zimnem w zimie, gorącem w lecie,

a przez liczne otwory gościnnie wpuszczającem deszcz do wnętrza.

Niedaleko Warszawy ma ładną willę z angielskim parkiem. Gdy jest mowa o letnich mieszkaniach, opowiada, jak w pewnym niewesołym roku używał prawdziwie letniego mieszkania, nie mając bowiem opłacić czem komornego, mieszkał — na wolnem powietrzu, pod gołem niebem. W końcu każdemu, z kim rozmawia, ofiarowuje swoję willę na lato.

Pozostał dotychczas kawalerem. Pomimo jednak pięćdziesiątego szóstego roku życia, który okrył mu głowę siwemi włosami, nie rozstał się z myślą o małżeństwie. Owszem, ożeni się.... Dziś ma w czem wybierać i ma prawo być wymagającym.

Nie unika pan Mateusz wesołego towarzystwa. Lubi się zabawić w restauracyjce, gdzie grono młodych birbantów wyciąga go na opowiadania, które upiększają złośliwemi dowcipami.

Pan Mateusz nie obraża się.

— Trzeba się przecież bawić.

Nie spostrzega jednak, że to zabawa na jego koszt.

Pewnego razu ubawiono się nim wybornie. Był on wtedy lepiej pijanym, niż zwykle. I kiedy ktoś żartem namawiał go, aby się nareszcie zde-

cydował ożenić, nagle panu Mateuszowi przypomniało się, że dawniej, bardzo już dawno, chciał się gwałtownie żenić z pewną sklepową z dystrybucyi. Nie była ona ani ładna, ani młoda, ale on ją kochał. Kochał ją bardzo. A ona? ona — odrzuciła go.

— Głupia, — mówił — byłaby dziś bogatą. Miałaby wszystko, czegoby zapragnęła... wszystko. Zadowalniałbym jej kaprysy nawet... stać mnie na to Byłaby szczęśliwa... bylibyśmy oboje bardzo szczęśliwi.

I ten, zawsze pogodny i wesoły człowieczek, rozczulił się. Twarz jego wyrażała rozrzewnienie, po tłustych policzkach zaczęły toczyć się grube łzy, które obcierał rękawem wtedy dopiero, gdy spadły mu na ubranie... Był bardzo zabawnym.

Nie ma pan Mateusz bliższej rodziny, oprócz siostrzeńca. Jestto trzydziestoletni mężczyzna, żonaty; przyjeżdża czasami z Żarnowca odwiedzić swego wuja. Wuj jego jednak, tak uczynny dla wszystkich, siostrzeńcowi swojemu nie dał nigdy grosza.

— Dobijaj się, pracuj, oszczędzaj — mówi mu. — Wstępuj w moje ślady. Masz taki dobry przykład na oczach. Widzisz, do czego można dojść *własną pracą.*

Gdy siostrzeniec skarży się na trudności życia, pan Mateusz uśmiecha się złośliwie. Cieszy go, że innym gną się karki pod ciężarem walki o byt. Jemu także nie przychodziło to lekko. Niech inni cierpią, jak on cierpiał. Dlatego trzyma kieszeń zawsze zamkniętą dla swego siostrzeńca.

Tymczasem urwis ten wie, że ma zapisany cały majątek i oddawna żyje dosyć wygodnie, na koszt przyszłego spadku. Poznał jednak słabą stronę wuja i udaje przed nim, stękając na życie, które w rzeczywistości płynie mu dosyć łatwo. Nie jest jednak wolnym od troski. Jest nią obawa, ażeby wuj się nie ożenił, mogłoby to bowiem wpłynąć na przerobienie testamentu.

Upływa jednak rok za rokiem, a pan Mateusz nie żeni się. Mimo to czuje się zadowolonym i nie zdaje się, ażeby mu wiele do szczęścia brakowało. Ot, po obiedzie tylko, gdy zabiera się odbyć w miękkim fotelu popołudniową drzemkę, czuje zawsze brak kogoś, komuby mógł opowiedzieć, jak mało snu używał wtedy, gdy szedł po ciężkiej do majątku drodze *własną pracą*.

Może więc się jeszcze ożeni...

PIETREK

Urodził się w sam dzień Piotra i Pawła. Rodzice przez czas jakiś w niepewności byli, którem imieniem go ochrzcić. Wybrano pierwsze, ponieważ święty Piotr ma większe fory w niebie. Ojciec oprócz życia dał mu nazwisko, to samo, które sam nosił, a nazywał się Kapitan, i zapłacił księdza. Chrzestnymi byli: Piotr Węgorzewski, mularz, towarzysz pracy Kapitana, osoba znana szerszym kołom, gdyż przez dwa lata zkolei właził na słup ujazdowski, i pani Kozłowska, wdowa, właścicielka angielskiego magla na Browarnej. Chrzest odbył się w kościele Bernardynów, poczem całe to zajście wraz z osobami, biorącemi w niej udział, niewyłączając i Piotrusia, choć był taki malusi, opisano w zakrystyi kościoła w grubej księdze ze skórzanym grzbietem. Do chrztu pojechano dryndą, ale ani tej pierwszej podróży, ani wielu zdarzeń, które po

niej nastąpiły, Piotruś nie zapamiętał. Lat kilka przeszło, jakby ich nie było wcale. Taka tylko po nich pamiątka pozostała, że chłopak umiał chodzić, mówić i ojca bać się, jak ognia. Do dziś dnia nie pamięta go inaczej, jak podnoszącego się ze stołka z groźną miną, odpinającego rzemień, którym opasywał sobie spodnie, składającego następnie ten rzemień we dwoje, no i... Matka, która całe swoje życie przeprała, nie odrywała się nawet w takich razach od balii, pełnej mydlin, będąc przekonaną, że to, co ojciec robi, wyjdzie chłopakowi na pożytek. Piotruś, który dorastał powoli do pierwszego krzyżyka, z wiekiem coraz bardziej obawiał się ojca. Bał się nawet jego wzroku, i, gdy mularz wchodził do domu, malec chował się za wanienkę, pełną mokrej bielizny, a na świat boży spoglądał przez okrągłą dziurę, wyrzniętą w jednej z klepek na ucho do noszenia. Matka rzadko kiedy szturgnęła go; nie miała czasu na zajmowanie się wychowaniem. Chcąc go zaś poskromić, gdy czasem rozswawolił się i mydliny z balii roznosił po całej izbie, groziła:

— Pietrek! mówię ci, uspokój się! bo, jak przyńdzie ojciec, a wyprawi ci rznięcie, — to obaczysz.

Czasami ta pogróżka skutkowała, ale nieza-

wsze. Gdy zima była na dworze i zaglądała do izby mrozem na szybach, chłopak na takie *dictum* siadał w kącie, jak trusia, i z zachowaniem najdelikatniejszej ostrożności bawił się ojcowskim młotkiem lub kielnią. Ale, gdy na świecie było lato, po niebie ciepłe przechadzało się słonko, a matka na przyjęcie jego promieni otwierała oba okna, Pietrek uśmiechał się z tych pogróżek, jak na wiosnę uśmiecha się słońce z wysiłków zimy. Wiedział, że ojciec teraz daleko, daleko, i że nie wróci przed pierwszym śniegiem. Mularz bowiem na początku wiosny zabierał młotek, kielnię, pion i ruszał w świat na robotę. Szukał on jej, gdzie się zdarzy, a tej, którą miał pod ręką nie brał; taką już miał naturę. Mularzem był dobrym, znajdował więc łatwo pracę przy budowie kolei, fortec lub budynków gospodarczych w wielkich dobrach. Wyjeżdżając, przyzwoicie ubrany za staraniem żony, ze sporym węzełkiem czystej bielizny, dobrze przytem pijany, ściskał czule żonę i obiecywał przywieść jej sto rubli. Nie zapomniał i o dziecku. Wywoływał chłopaka zza wanienki, kazał matce utrzeć mu nos fartuchem, a następnie dawał rękę do pocałowania. Jak tylko ojciec wyszedł za bramę domu, świat cały zmienił się zaraz Pietrkowi w oczach. Podwórze śmiało się do niego, cie-

szyło się niby, radowało, — nieprzymierzając, jakby pijane nieco. Chłopak biegł na dziedziniec, obiegał, jak głupi, parę razy wokoło studni, stawał wreszcie, podnosił kamień, pluł na niego, i, obejrzawszy się wokoło, ciskał nim w imię Boże na małego żydziaka, przechodzącego koło komórek. Hulał tak lato całe, tyle tylko do izby zachodząc, ażeby zjeść co i przespać się. Matka, ciągle przy balii, nie zabraniała latać mu po dworze, kontenta, że chłopak nie zawadza jej w izbie. Czasami używała go do pomocy przy rozwieszaniu bielizny. Latem bielizna wysychała na dworze. Od studni do komórek przeprowadzony był sznur, na którym praczka wieszała białe płaty płótna, które słońce suszyło rano z przodu, po południu z tyłu. Trzeba było jednak mieć się na ostrożności przed wiatrem. Złośliwy ten figlarz wypadał nieraz znienacka, zrzucał czyściutko wypraną bieliznę ze sznura i tarzał ją niemiłosiernie po ziemi. Zawiązywanie sznura u zawiasy przy drzwiach komórki przeznaczonem bywało Pietrkowi. Chłopak był bardzo zręcznym; w jednej chwili wdrapywał się na drzwi, siadał na nich okrakiem, jakby na koniu, i za minutę sznur umocowanym był już dokumentnie. W jasne pogodne dnie chłopak biegał wesoły z rozjątrzoną twarzą, niezmęczony nigdy. Gdy jednak

niebo cokolwiek się zachmurzyło, siadał w kącie ponury, jak sowa. Kaziek, syn pani Kozłowskiej, z którym przepędzał dnie całe, nie mógł wyciągnąć go na zabawę. Pietrek był, jakby nieswój, wzdychał czasami smutno i na niebo spoglądał. A gdy jesienne deszcze kropić zaczęły na bruk warszawski, Pietrek, ten żwawy i ruchliwy łobuz, stawał się niedołęgą prawdziwym. Nęcony przez towarzyszów ulicy, biegł za nimi, ale dziwny jakoś, osowiały. Bywało, że małego rowu przeskoczyć nie mógł, gdy niedawno jeszcze duże rowy, przepaści niemal, przesadzał, jak nic. A gdy śnieg upadł, Pietrek zupełnie już do niczego, przesiadywał dnie całe w domu smutny, pognębiony. W nocy zaś miewał sny niespokojne, w których zdawało mu się, że lata po śniegu, a w oknie widzi surową twarz ojca, odpinającego pasek...

W początkach grudnia wracał mularz do domu. Pijanym był lepiej jeszcze, niż wtedy, gdy wychodził na robotę, i całkiem do dawnego niepodobny. Obdarty, obszarpany, bez węzełka, bóty w dziurach, koszula jak święta ziemia, choć mak siej na niej, byle ostrożnie, gdyż nasienie może być zjedzonem.... Od progu zaraz przeklina świat cały, że taki marny; czasy, że takie ciężkie; Żyda, że taki skąpy, i chleb, że taki drogi. Żona

skacze mu do oczu i o pieniądze pyta. Mularz gada dalej, narzeka i opowiada o tysiącu okoliczności, ale żona nie daje się tem wyprowadzić w pole.

— Pieniędzy! pieniędzy! — krzyczy.

Mularz próbuje poradzić sobie z nią dobrocią, ale, widząc, że to nie pomaga, buch ją raz i drugi w łeb za to, że gada, potem ją znowu, że krzyczy; a potem ją jeszcze, że płacze i lamentuje, kiedy niema czego. Pietrek siedzi przez cały ten czas za wanienką nieruchomie i obawia się odetchnąć głośniej. Dzień jeden, drugi, trzeci piekło prawdziwe w domu. Mularz radby się pogodzić i coraz to próbuje „dobrocią“, ale baba gębie wypoczynku nie daje. Wieczorem szczególnie mąż okazuje silniejszą, niż we dnie, chęć do pogodzenia się. Rozmawia łagodnie i nawet żonę po rękach chce całować, ale ta odpycha go gwałtownie i nie przestaje wymyślać, na czem świat stoi. Rozzłoszczony mularz daje jej na dobranoc kilka, ale dobrych, kułaków i kładzie się spać na podłodze, podkładając worek pod głowę. Mruczy przytem, mruczy długo, aż dopóki chrapać nie zacznie. Następny dzień rozpoczyna się tem, czem się zakończył poprzedni. Kłócą się, wymyślają, biją, a o Pietrku, zda się, zupełnie zapomnieli. Po kilku dniach wszakże na hory-

zoncie ukazywać się zaczynają oznaki przymierza, które Pietrka niepokoją coraz mocniej. Matka robi się łagodniejsza, ojciec opowiada jej swoje przygody letnie, a gdy słyszy od niej wymówki za hultajstwo, marnotrawstwo i pijaństwo, opiera głowę na dłoniach i głośno fruka nosem.

Pewnego dnia wreszcie następuje zgoda, i mularz nie poniewiera się więcej na ziemi, lecz kładzie się spać do wygodnego łóżka, jedynego wprawdzie w izbie, ale dostatecznie szerokiego. Nazajutrz wstaje dobry, jak anioł, podśpiewując jakąś wesołą piosnkę mularską. Je śniadanie ze spokojem i apetytem, a tymczasem matka udobruchana już zupełnie, opowiada zmartwienia swoje i kłopoty, które zniosła w czasie nieobecności męża. A jest ich niemało. Gospodarz domu podwyższył komorne. Aktorka ogródkowa wyjechała nie zapłaciwszy za pranie. Sąsiad zrobił jakąś psotę, i tak dalej. Powoli, powoli matka zbliża się i do Pietrka. Ten słucha za wanienką, a każde słowo pali go, jakby było gorące. Pomimo to rozgrzać się nie może i drży całem ciałem, jakby w zimnicy. A matka bez miłosierdzia wylicza wszystkie jego „sprawki“. Nie daruje żadnej, a przytem słów nie szczędzi na wystawienie faktów w jaknajgorszem świetle. Szybę w oknie stłókł kamieniem u Żyda waciarza. Spodnie roz-

darł dwa razy, drapiąc się po studni. Żydówka na skargę przychodziła, że błota naciskał w koszyk z bobem i wiśniami. Chodząc nad Wisłą, wpadł w wodę i wrócił, zmoczony cały, jak nieboskie stworzenie. Za ciężką winę i to mu policzono, że, biegnąc, upadł na bruk i zranił sobie czoło.

I matka jeszcze połowy litanii nie wypowiedziała, gdy ojciec — wstał, odpiął rzemień, opasujący mu spodnie, i, wyciągnąwszy zza wanienki Pietrka, wijącego się, jak wąż, i całującego rękę, która go przytrzymywała, — wyprawiał mu rznięcie. A matka, do której chłopiec wyciągał jednę wolną rączynę, dogadywała jeszcze, pilnując jednego tylko:

— Byle nie sprzączką!

Rznięcie trwało zazwyczaj dopóty, póki guzik wierzchni, któremu powierzono podtrzymywanie spodni w należytej pozycyi, nie urwał się pod ciężarem tej odpowiedzialności. Wtedy spodnie, wabione nadół ogólną siłą ciążenia, opuszczały się na pięty. Mularz, pozbawiony w ten sposób do pewnego stopnia swobody ruchów, puszczał malca, który z łkaniem wracał za wanienkę. Matka tymczasem nawlekała igłę i zabierała się do przyszywania guzika. Mówiono przytem o przyszłości Pietrka. Oboje zgadzali się na to, że urwis

to nielada, do psich figlów szczególniejszą okazujący dążność, z którego na pewno nic dobrego nie wyrośnie. A choć ojciec nie zdawał się być zmartwionym tą wróżbą, matka jednak pocieszała go:

— Przynajmniej przed Bogiem nie będziesz miał odpowiedzialności. Ręki nie żałowałeś.

Od tego dnia rznięcie odbywało się codziennie. Mularz spał zwykle długo, a spałby i do południa, gdyby nie ciągłe chrobotanie pranej bielizny. Wstawszy, zjadał śniadanie, odpoczywał z godzinkę i wychodził powałęsać się po mieście. Gdy czuł, iż żona niedawno odebrała pieniądze za pranie, narzekał na ściskanie w żołądku, a otrzymawszy parę groszy na lekarstwo, szedł na róg do Szapsi, wypijał za dziesiątkę wódki i wygadał się z dorożkarzami za rubla. Na obiad wracał, mniej markotny. Po obiedzie odpocząwszy należycie, obijał Pietrka, wyszukawszy pierwiej pozoru. A to chłopak do sieni wyszedł, a to poruszył mu kielnię, a to przy obiedzie chleb mu wypadł z ręki na ziemię. Gdy powód narazie się nie znajdował, bił go za to, że, jak złodziej, chowa się za wanienkę. Pietrek nie mógł poruszyć się swobodnie, gdy ojciec był w domu, a o wybieżeniu na podwórze i polataniu, choćby przez godzinę, po śniegu — ani marzenia. Po doko-

naniu dziennej racyi obowiązków ojca, kładł się mularz spać lub też w miarę potrzeby brał wanienkę na ramię, szedł na strych i rozwieszał na sznurach bieliznę Wieczorem kłócili się trochę z żoną, która nazywała go darmozjadem i narzekała, że karmić go musi swoją ciężką pracą. Mularz znosił to z pokorą i obiecywał wszystko złe odrobić na przyszłe lato. Usypiali w zupełnej zgodzie.

Pietrek odbierał rznięcie regularnie codzień po obiedzie z wyjątkiem niedziel i świąt. Mularz szanował dzień święty. W te dnie kładł Pietrek na siebie nową kapotkę, na nogi wzuwał bóty, a na głowę wkładał czapkę z daszkiem. Nadto opatulony chustką, szedł z matką do kościoła. Po sumie wracali do domu na obiad. Ojciec spoglądał na malca surowo i mruczał pod nosem:

— Urwisie, na szubienicznika wyrośniesz...

Ale nie tknął go. W dnie świąteczne uważał się za zawieszonego w obowiązkach ojca. Wreszcie.... może mu szkoda było bić po nowej kapocie.

Tymczasem zima trzymała świat w śnieżnych objęciach, ale coraz to słabiej. Za miastem, za rogatką, daleko gdzieś czuć było wiosnę. Gdy słońce zagrzało raz silniej, i woda zaczęła kapać z dachów, mularz dał do kowala kielnię i mło-

tek do naprawy. Dni parę poczekał jeszcze, ale już pełen niepokoju. Chodził od domu do domu i zmawiał się z mularzami, których tylu mieszka na Browarnej ulicy. Wreszcie pewnego dnia zabrał narzędzia pod pachę i zaczął żegnać się z żoną. Mularzowej zrobiło się markotno.

— Ech! zostałbyś — rzekła.

— Nie mogę. Trza iść na robotę.

— I tubyś ją znalazł, żebyś ino chciał. Tyle domów w Warszawie rok rocznie się buduje...

— Niedoczekanie ich, żebym za taką marną cenę harował. Tam płacą, — to rozumiem. Na jesień przyniosę ci sto rubli, jak lodu...

— Złe licho chyba ciągnie cię w świat. Zostałbyś, mój ty!

— Nie mogę... Nie mogę... No! nie mogę!

Pożegnał się z żoną, dał Pietrkowi rękę do pocałowania i poszedł sobie. Ona wyszła za nim przed bramę i odprowadzała go wzrokiem, gdy, połączywszy się z innymi mularzami, jak on, wychodzącymi na robotę, nikł na zakręcie Bednarskiej. Wracała do swej balii, pełnej brudnej bielizny i mydlin, ocierając łzy fartuchem. Taka boto i dola mularskiej żony: „bez lato przez męża, bez zimę przez chleba“, — rób, co chcesz!

Tegoż dnia jeszcze Piętrek biegał po ulicy Browarnej do późnej nocy. Uczuł się nagle lek-

kim i swobodnym, jak gdyby mu u ramion skrzydła wyrosły. Odszukał natychmiast Kaźka Kozłowskiego, i razem ułożyli sobie na jutro plan wycieczek nad Wisłę. Nazajutrz rano Pietrek wstał równocześnie z matką i zaraz po śniadaniu chyłkiem wymykał się z domu. Matka zaczęła gderać:

— A co! ojca niema! zaczynasz już brykać. Pewnie idziesz gdzie znowu lofrować...

Reszty nie słyszał, gdyż był już na dworze. Kaziek czekał na niego.

— Myślałem, że nie przyjdziesz — powitał Pietrka.

— A to czemu?

— Że ci fater nie pozwoli.

— E! abo ja się fatra boję?

— Słyszałem, że cię bije.

— Idź, głupi! Abo jabym się dał.

Poszli nad Wisłę. Place, gdzie tyle letnich dni przepędzili, były pod wodą. Stali, gapiąc się i puszczając „kaczki“ po powierzchni wody. Niemając tu co robić, wracali do domu. Na trotuarze spotkali się z jakimś łobuzem w ich wieku. Obrzucili go nieprzyjaznym wzrokiem Stanęli. Stanął i łobuz, ażeby nie myśleli, że ucieka. Pietrek zbliżył się do niego:

— Co się stawiasz?

— A ty co się stawiasz!

— Daj mu pod ziebro, — zachęcał Kaziek, odsunąwszy się o kilkadziesiąt kroków.

— No, daj! — rzekł ulicznik.

— Żebym tylko chciał.

— No?!

— No?!

Dotknęli się rękawami; żaden nie wyjął rąk z kieszeni. Po chwili rozeszli się w różne strony, trwając ciągle we wrogiem usposobieniu.

Pietrek opowiadał Kaźkowi:

— Jakbym go gwizdnął w zęby, toby się nogami nakrył. Tylko, że nie chciałem.

Do domu nie wracał przed nocą. Korzystał z życia i ze swobody całą duszą, tak jak tylko dzieci z tych skarbów korzystać potrafią. Czasami zapominał wśród uciech o obiedzie. Przed południem zwykle było mu trochę markotno. Przyjaciel jego, Kaziek, chodził do szkoły na Oboźną, a Pietrek przyzwyczaił się tak do niego. Wałęsał się po podwórzach, poszukując towarzysza, któryby zagrał z nim w stalki lub w guziki. Gdy znalazł chętnego, siadali gdzie na schodach i rozpoczynali namiętną szulerską grę. Jeżeli szczęście nie przechylało się zbyt gwałtownie na którą stronę, oba gracze zachowywali spokój, ale, gdy

który przegrywać zaczął, wszczynała się zacięta kłótnia o reguły gry.

— Idzie!

— Nie idzie!

— Oszukujesz!

— Ty sam oszukujesz. Nie gram z tobą. Oddaj mi moje guziki.

— Będziesz je brał. Ja wygrałem.

Poczubili się trochę, jak dwa koguty, i rozeszli się. O pierwszej szedł Pietrek na Obożną, siadał na kamiennych wschodach przy zdroju i oczekiwał Kaźka, który o tej porze wracał ze szkoły. Odprowadzał go niby do domu, ale przez Leszczyńską, Dobrą, Solec, a nieraz i Krakowskie-Przedmieście. Przyglądali się wystawom sklepowym, pytając jeden drugiego:

— Cobyś ty sobie wybrał z tego?

Zaczepiali po drodze żydziaków, czepiali się jadących dorożek, pokazywali języki stójkowemu. A gdy Kaziek wstępował do domu na obiad, Pietrek czekał na niego przed bramą. Czasem zdarzyło się, iż Pietrek nie doczekał się Kaźka na kamiennych schodkach. Minęła pierwsza, inni chłopcy poprzechodzili już dawno, a jego niewidać. Pietrek odchodził do domu, myśląc:

— Pewnie go zostawili w kozie.

Idąc przez ulicę, zazdrościł Kaźkowi jego doli.

On chodzi do szkoły, ma kajety, książki, jednę nawet z obrazkami. Ma tabliczkę szyfrową, na której grać można w szubieniczkę. Słuchają go lekcyi, zostawiają w kozie. Jakato ta koza jest? Ech! są szczęśliwi ludzie na świecie. A on? Pietrkowi ani zamarzyć o szkole, książkach, kozie. Niechby powiedział o tem, ojciec by mu dał.

Po południu szli w pewne podwórko na Nowym Świecie, gdzie codziennie zwożono paki z owocami. Niektóre z tych pak miały dziury, i na to polował Pietrek. Wsuwał się pomiędzy paki, wsadzał dwa palce w dziurę, przerywał papier i wyciągał rodzynki lub migdały. Często udawały się te wycieczki, choć nieraz stróż po częstował ich miotłą. Gdy słońce przechyliło się dobrze na bok, nad Wisłą, na obszernych, pustych placach rozpoczynała się gra w czarnego luda.

Po jednej stronie stawała gromadka dzieci umytych i brudnych, obutych i bosych, stojących w jednym zwartym szeregu, a naprzeciw nich stał jeden ponury, zpode łba spoglądający, „czarny lud".

— Boicie się czarnego luda?!

— Nieeee!! — wrzeszczy chór i przebiega na drugą stronę, pilnując się, ażeby nie być złapanym przez czarnego luda.

Późnym wieczorem, gdy Pietrek wrócił do domu, zdyszany, z zarumienionemi policzkami i kładł się spać, ogarniała go na chwilę obawa przed śnieżną marą zimy. Oto jeszcze jeden dzień szczęścia upłynął i o krok jeden zbliżył Pietrka do tego strasznego dnia, gdy ojciec powróci z roboty, obdarty, w brudnej koszuli, paskiem rzemiennym przepasany...

W skwarne dnie lata szedł zaraz po obiedzie z Kaźkiem nad Wisłę; rozbierali się, nad brzegiem składali ubranie, i — jazda do wody! Pluskali się w niej godzinami, jak ryby, a gdy woda naprzykrzyła się im, wybiegali na brzeg i po szyję zakopywali się w ciepły piasek. Po kwadransie — znowu do wody. Ubierali się w chwili, gdy słońce chowało się na zachodzie, a z wody czy z ziemi podnosił się lekki, ale zimnawy wiaterek. Pietrek czuł się zupełnie szczęśliwy na tym piasku, gdzie przed sobą miał Wisłę, szeroko płynącą, i szereg dni, równie bezczynnych, swawolnych, wesołych, jak dzisiejszy, tylko że — Wisełka ta kochana stanie niezadługo, a wraz z tem skończą się dnie szczęścia. Zima się zbliża...

Zbliżała się ona, jak groźne widmo...

Pietrek zimno uczuwał na samo wspomnienie. Widok suchych, żółtych liści, miecionych po ziemi jesiennym wiatrem, wywoływał jakieś ściska-

nie koło pietrkowego serca. Wpatrywał się czasami ponuro w Wisełkę, którą kochał i kochałby pomimo mrozów, śniegów i lodów, gdyby mu tu kiedy przybiec pozwolono. Ale nie pozwolą. Świat to dla niego zamknięty. Podczas gdy towarzysze jego wybiegną na ślizgawkę lub rozpoczną bój kartaczowy na piguły, — on, skurczony, drżący z obawy, siedzieć będzie nieruchomie za wanienką z bielizną. Świat szeroki, wolny – zamknięty zostanie przed nim na całe długie, smutne miesiące. Ze wzrastającym smutkiem w duszy oczekiwał doli swojej, doli nieuniknionej, gdy zabiorą mu powietrze zprzed piersi... Tymczasem napawał się niem, choć nie było ono takiem samem, jak na wiosnę. Zatarły je smutek i jesień.

Zima już. Lada dzień, wrócą mularze. Pierwszy śnieg upadł, a choć znikł zaraz, pozostawił po sobie zapowiedź białej polewy, która świat oskorupi na długo. Tymczasem jest pogody trochę, — ostatni uśmiech konającego. Tyle też pietrkowego szczęścia. Nie biega on już po ulicach; siedzi w domu i przymila się matce. Posłany po co, wraca natychmiast. Idąc, ze smutkiem spogląda na towarzyszów, którzy nic a nic nie stracili na minie. Siedząc w domu, wygląda przez okno. Zdala w bramie kręcą się ludzie;

wchodzą i wychodzą. O każdym myśli Pietrek, że to ojciec. Serce mu silniej bije, i oddech zamiera; dopiero, gdy przekona się, ktoto wszedł w podwórze, oddycha swobodniej i uspokaja się. Wkrótce po obiedzie robi się ciemno zupełnie i nic przez okno nie widać. Siada wtedy Pietrek blisko drzwi i z niepokojem przysłuchuje się odgłosowi kroków na korytarzu. Na każde zaś ruszenie klamką, na każde skrzypnięcie drzwi dostaje febry; kładąc się spać, z niepokojem myślał:

— Pewnie przyjdzie w nocy.

A gdy nazajutrz, obudziwszy się, obawą odrazu wytrzeźwiony ze snu, rozglądał się po pokoju i oprócz matki, stojącej przy balii, nie dostrzegł nikogo, szeptał:

— Dziś, dziś przyjdzie. Napewno.

I znowu dzień cały siedział przy oknie, patrząc na świat przez dziurkę, wychuchaną na szybie. Tam na podwórzu chłopaki bawiły się, aż miło. Koło studni ustawiali oni bałwana ze śniegu. Pietrka ciągnęło coś gwałtownie.

— Ej! polecieć tamby! polecieć!

Ale w tej chwili wchodzą w bramę dwaj ludzie jacyś, znajomi trochę... mularze.

— Już! — pomyślał Pietrek.

Patrzy przez szybę na nich. Idą tu, ale ojca

za nimi nie widać. Weszli do izby. Matka natychmiast porzuciła pranie. Fartuchem obcierać zaczęła mokre ręce.

— A gdzież mój? — zapytała.

Mularze milczeli, spoglądając jeden na drugiego. Matka chciała mówić coś, ale nie mogła. Osłupiała. Przez długą chwilę trwało milczenie. Wreszcie jeden z mularzy zebrał się na odwagę:

— E! tak czy tak, zawszeć powiedzieć trza. A to waszemu przytrafiło się nieszczęście. Spadł z rusztowania, zabił się i od tego pomarł.

Matka patrzyła długą chwilę jak gdyby nierozumiejąc nic, i nagle — ryknęła strasznym płaczem Rękami chwyciła się za włosy Mularze, markotni, zaczęli ją pocieszać A Pietrek patrzył na to osowiałym wzrokiem. Ręka jego bezmyślnie ujęła za czapkę, za chwilę wyszedł na podwórze. W sieni zatrzymał się, dotknięty gwałtownym płaczem lamentującej matki. W tej chwili chłopcy, lepiący bałwana ze śniegu, dostrzegli go.

— Pietrek! — krzyknął jeden z nich.

Po chwili Pietrek był już przy studni. Ukręciwszy małą pigułę, zaczął taczać ją po śniegu. A piguła oblepiała się śniegiem wokoło, rosła pod rękami chłopca, grubiała coraz bardziej... coraz bardziej...

BEMBO

I.

Wszystko powietrze, zamknięte pomiędzy cienkiemi, drewnianemi ścianami cyrku, drgało szczerym śmiechem na widok tego poczciwego, dobrodusznego Bembo. A wśród tysiąca wesołych głosów wyróżnić można było wiele tonów sympatycznych, serdecznych.

Po arenie cyrkowej biegała olbrzymia masa, okryta szarą, sfałdowaną skórą, zwieszającą się na przodzie w kształcie ruchomej, kurczącej się i wyprężającej trąby. To słoń azyatycki, — Bembo.

W środku koła, otoczonego amfiteatrem, napełnionym widzami, stał mężczyzna w sile wieku, wysoki, przystojny, o dobrze rozwiniętych muskułach, odznaczających się na obcisłem trykotowem ubraniu. To jest pan Roger Amalay. W ręku trzyma szpicrutę, której koniec zakreśla ostre, świszczące, szybko przebiegające w powietrzu linie. Kiedyniekiedy wyrzuca z ust szor-

stkie, rozkazujące słowo, którego nikt z publiczności nie rozumie. Rozumie je jednak to wielkie zwierzę. To komenda. Bembo na jej odgłos zmienia kierunek biegu, przybiera inne pozycye, w szybkim pędzie, od którego trzęsie się amfiteatr, na raz staje, następnie cofa się w tył, jak rak, idzie bokiem; wreszcie z ogromnym trudem i niezgrabnie podnosi się w górę, usiłując stanąć na tylnych nogach.

Ale wszystko to wstęp tylko.

Bembo na odgłos nowego rozkazu chwyta swego pana trąbą, opasuje go nią w pasie, jak wężem, i tak przewieszonego obnosi dokoła. Następnie zarzuca go sobie na grzbiet i unosi, kręcąc się wokoło, jakgdyby tańczył polkę.

Publiczność bije brawo.

Naiwną jest ta publiczność, która sądzi, że pan Roger Amalay, tytułujący się za pomocą olbrzymich liter na afiszu „pogromcą“ słoni, jest rzeczywiście pogromcą.

Albożby można pogromić tego potężnego, olbrzymiego króla zwierząt? Alboż trzeba poskramiać to łagodne, poczciwe i rozumne stworzenie? Mylicie się wy wszyscy, jesteście oszukiwani! Pan Roger Amalay tumani was tą szpicrutą, która jest tylko w waszych oczach szpicrutą, i tym szorstkim tonem, który w waszych tylko uszach

brzmi, jako rozkaz. Pan Roger Amalay nie jest panem, nie jest pogromcą, jest on serdecznym przyjacielem słonia.

Tyle już lat przeżyli razem, ten człowiek i to zwierzę.

Bembo jest dobrem, poczciwem zwierzęciem. Jest wiernym i posłusznym przyjacielowi swojemu, człowiekowi. Skacze, unosi się na łapach, pokazuje różne sztuki — dla zrobienia mu przyjemności. Człowiek tak długo, tak cierpliwie uczył słonia całej tej trudnej nauki, że widać bardzo mu wiele zależy na tem, ażeby kiedyniekiedy pobawić się ze słoniem poludzku.

Po ludzku doprawdy...

Oto lokaje wnoszą stół, nakrywają go obrusem i zastawiają go talerzami, nożami, widelcami łyżkami. Człowiek zawiązuje sobie serwetkę a słoń długą trąbą nakłada na kark związane poprzednio prześcieradło. Lokaje wnoszą zupę i nalewają na talerze. Człowiek prosi słonia do obiadu, i Bembo przyjmuje zaproszenie. Końcami trąby chwyta łyżkę, nabiera nią z talerza zupę i wlewa do gardła.

Słoń je zupę łyżką — poludzku, jak człowiek.

Bawi to niezmiernie publiczność. Tysiące oczu

utkwione są w tę dziwną rękę, wyginającą się, jak pałąk.

Bembo wcale nie zwraca uwagi ani na śmiechy tych ust, ani na oklaski tych rąk. Rozumne jego ślepie spoczywają ciągle na twarzy przyjaciela, jedzącego z nim obiad przy wspólnym stole. A kiedy publiczność myśli ileto trudu kosztowało nauczenie tych wszystkich sztuk tego słonia, zanim on na swego pana zarabiać zaczął, Bembo mówi sobie w duchu: „Poczciwy przyjaciel. Jakże cieszę się, że mogę, tak jak on, jeść łyżką i widelcem. Jest mi to nieznośnem, ale on tak się trudził, ażeby mnie tego nauczyć. Widać, iż przez to zastępuję mu wszystkich ludzi, tak jak on zastępuje mi wszystkie słonie".

Ale oto nowa sztuka.

Publiczność zamilkła, rozszerzone usta ściągnęły się, zmarszczone uśmiechem twarze rozpostarły się.

W niektóre piersi przestało wchodzić powietrze. Jedni byli zdumieni, inni, przerażeni zuchwalstwem człowieka

Pan Roger Amalay leżał, rozciągnięty na wznak na ziemi z rozpostartemi rękami i nogami. Bembo odbywał straszną wędrówkę, chodząc wokoło na jednem prawie miejscu nad leżącym człowiekiem. Ciężkie, grube swoje nogi stawiał na ziemi tuż

przy ręce, przy brzuchu swego pana. Chodził tak parę minut, przekładając nogi przez nieruchomo leżące, żyjące członki człowieka.

Jedno fałszywe stąpnięcie tej kolosalnej nogi a człowiek powstałby kaleką, — gdyby powstał. Ale on pewnym był swojego przyjaciela. Leżał spokojnie, nieruchomo. Ani jeden muskuł nie drgnął z obawy przed krążącem nad nim, olbrzymiem cielskiem. To milczenie całego audytoryum, ten śmiech urwany nagle — był to jego tryumf.

Uśmiechał się.

Ostre słowo wybiegło w powietrze, i Bembo na raz zaprzestał wędrówki, chwycił w pół leżącego na ziemi człowieka i tak, niosąc go w trąbie, wybiegł z areny poza cyrkowe kulisy.

W jednej chwili zaniepokojenie zniknęło z tysiąca twarzy. Wesołość powróciła na nie.

Oklaskom nie było końca...

II.

Pan Roger Amalay był Anglikiem. Urodził się w Clussfield, w hrabstwie Clussfield nad jeziorem Clussfield. Ojciec jego, poważny, surowy lord z czerwonemi faworytami, całe życie chorował na *spleen*. Wiadomo, iż jedynym lekarzem na tę chorobę jest jeografia. Leczył się nią lord.

podróżując ciągle po świecie, zwiedzając wszystkie pierwszorzędne hotele ucywilizowanego świata, przesiadając się ciągle z kolejowego wagonu do kajuty okrętowej. Wszędzie, jako ślad za sobą, pozostawiał angielskie szterlingi pozmieniane na narodowe monety wszystkich krajów. Pewnego razu, gdy wsiadał w San-Francisco na okręt, przyniesiono mu depeszę, z której dowiedział się, że oprócz rodzinnego Clussfield wszystkie inne jego włości, udziały w fabrykach i domy, znudzone nareszcie ciągłą nieobecnością pana, zmieniły właściciela.

Lord pomyślał wtedy o swoim synu, Rogerze, i pojechał natychmiast do Oxfordu. Zdziwił się bardzo, widząc Rogera, który przez tę parę lat wyrósł na dorodnego, smukłego młodzieńca. Wtedyto pomyślał lord o obowiązkach ojca. Familijne podobieństwo, które dostrzegł w kształcie nosa i czerwonych, jak wytarta miedź, włosach syna, nawróciło lorda. Pożegnawszy się czule z synem, pojechał do Clussfield i tam w galeryowej sali wobecności wszystkich Clussfieldów-Amalay, zawieszonych w długim szeregu na ścianie, — palnął sobie w łeb.

Roger, dowiedziawszy się o tem, natychmiast wyjechał z Oxfordu z zamiarem powrócenia doń niezadługo, wszakże nie prędzej, aż zajdzie po-

trzeba oddania pierwszego syna do kolegium. Znając dobrze dwie miejscowości świata: Oxford i Clussfield, Roger zapragnął poznać trzecią miejscowość, o której trochę słyszał, — Londyn.

Przez dwa lata życia w tem mieście Roger zmienił bardzo wiele rękawiczek, koni, kochanek i banknotów. Tylko przyjaciele jego nie zmienili się. Towarzyszyli mu wiernie przez długi czas i opuścili go dopiero z chwilą, gdy dziedziczny zamek Clussfield oddał się w posiadanie pana James'a Grown'a z Liverpoola.

Roger okropnie wtedy rozgniewał się na cały świat, a w szczególności na pannę Nelly Lalington, która rzekła mu pewnego razu:

— Och *sir!* Mówisz, że mnie kochasz. Wierzę ci. Wielu się kochało we mnie. Ale pańska miłość to rzecz bez konsekwencyi. Nie wart jesteś więcej, *sir,* nad sto funtów rocznej renty, a pański stryj, *sir* Edward Amalay, aczkolwiek bezdzietny, należy jednak do bardzo gorliwych członków towarzystwa gimnastycznego.

Roger wiedział, że Nelly się myliła. Miał on w tej chwili o sto funtów renty mniej, niż był posądzonym. Nie zaprzeczył jej jednak ani jednem słówkiem, tylko nazajutrz wsiadł na okręt i odpłynął do Indyi. W pół roku potem wyczy-

tał w *Times'ie* wiadomość o ślubie panny Nelly Lalington z lordem Charybury.

Lord Charybury! Ten sparaliżowany starzec się ożenił?!

Wtedy Roger, znajdując się w kraju, zamieszkanym przez żółtą febrę, cholerę, lwy, słonie i tygrysy, wykrzyknął:

— O ludzie!

Za ostatnie sześć pensów kupił markę pocztową i wyprawił do Anglii list, na który otrzymał w rok potem następującą odpowiedź:

„Kochany synowcze! Cieszę się, że nareszcie nie masz już nic do stracenia. Udaj się do mego przyjaciela, Ryszarda Rowes'a w Kalkucie, który da ci miejsce urzędnika z płacą dwóch funtów miesięcznie. Daremnie pisałbyś do mnie o pieniądze. Wiesz dobrze, iż niema na świecie człowieka, któryby mógł się pochwalić, że dostał choćby dwa pensy od starego Edwarda Amalay. Kochający cię stryj".

W następnym roku Roger odebrał na drugi list odpowiedź:

„Jesteś wielkim nicponiem, skoro chcesz mnie nastraszyć tym twoim cyrkiem. Jeżeli ty sam wcale nie cenisz twego nazwiska, to cóż za racya, ażebym ja miał płacić ci za to, co dla ciebie nie ma wartości. A wreszcie na kontynencie

mnie nie znają, a w Londynie nie pokażesz się przecież w trykotach. Kochający cię stryj".

W rok potem nadeszła do Indyi ostatnia odpowiedź „kochającego" stryja:

„Jeżeliś dotąd nie poznał, że jestem starym wróblem, niedającym się wziąć na plewy, to jestem stryjem bardzo ograniczonego synowca. Nie przyjedziesz do Londynu z *trupą*, ponieważ.... ale nie chcę cię krzywdzić posądzeniem o brak domyślności. Wszak widzisz, że nie jestem głupim. W całej naszej rodzinie Amalay'ch jeden się tylko znalazł taki".

Wtedy Roger posiadał już słonia i wytresował go był podług metody, udzielonej mu przez pewnego apodya indyjskiego. Otrzymawszy taką odpowiedź, wsiadł na okręt ze słoniem i przyjechał do Europy. Na cieśninie la Manche doznał gwałtownego bicia serca i wysiadł w Calais zamiast w Duwrze.

III.

Przez trzy długie lata Roger obwoził słonia po wszystkich miastach europejskich z wyjątkiem Londynu. Z każdego miejsca posyłał afisze stryjowi, *sir* Edwardowi Amalay, który jednak nie odpisał mu nigdy ani słówka. Roger, jako pra-

wdziwy Anglik, stawał zawsze w hotelach angielskich, jadał befsztyki, pił porter i czytywał *Times'a*.

Pewnego razu — przy śniadaniu — wyczytał wiadomość o śmierci lorda Charybury. Uczyniło to na nim pewne wrażenie. Niedokończywszy bowiem butelki *ale*, wyszedł z restauracyi i szybkim krokiem pobiegł do stajen cyrkowych, gdzie pomieszczony był Bembo. W stajniach o tej godzinie panowała cisza, osłonięta łagodnym półmrokiem.

Roger oparł się plecami o bok ogromnego zwierzęcia, ukrył twarz w dłonie i zaczął łkać....

A Bembo odwrócił trochę olbrzymi czarny łeb, otulony zwieszonemi kwadratowemi uszami, wyciągnął długą trąbę i okręcił ją leciutko w około szyi swego nieszczęśliwego przyjaciela...

IV.

W pięć miesięcy później do numeru hotelowego zapukał listonosz.

— Pan Roger Amalay?

— Tak jest.

— Proszę list.

I, kiedy listonosz był już w sieni, Roger krzyknął za nim:

— Zaczekaj, mój przyjacielu. Masz na piwo.

Listonosz mruczał na wschodach:

— Albo waryat, albo już taki porządny pan.

W godzinę potem wbiegł dyrektor cyrku.

— Jakto! — krzyknął — pan śmiesz zrywać kontrakt?!

— Tak, panie, właśnie doniesiono mi, że umarł mój stryj, *sir* Edward Amalay, mój spadkodawca. Pojmujesz, kochany dyrektorze, że człowiek, mający dwadzieścia tysięcy funtów rocznej renty, nie potrzebuje pokazywać się w cyrku.

— Tak... *sir*... ale to będzie krzywda dla mnie, jeżeli szanowny *sir* raczy zerwać kontrakt.

— Będę ci winien jeszcze jedno tylko przedstawienie, ponieważ dziewięć już się odbyło, zapłacę panu za nie.

— Ale moja reputacya, *sir*. Zapowiedziane było tylko dziesięć wielkich, świetnych, ostatnich przedstawień tresowanego słonia, Bembo, a ja pozwoliłem sobie w dzisiejszych afiszach zapowiedzieć jeszcze dziesięć nowych, wielkich, świetnych, ostatnich...

— Pańska wina, panie dyrektorze. Nie porozumiałeś się pan ze mną.

— Ośmielam się zwrócić panu uwagę, że *sir* nie masz jeszcze ani jednego funta z tych dwu-

dziestu tysięcy, a podróż do Anglii pierwszą klasą...

— To rzeczywiście argument.

— A zatem *sir*...

— A zatem zgadzam się, dyrektorze, ale na jedno tylko, ostatnie przedstawienie.

— Zapewne i słonia sprzedasz, *sir?*

— Będę zmuszony. Biedny Bembo! Tak przykro mi będzie bez niego! Ale trudno. Pierwszy mój krok musi być zupełnem zerwaniem z przeszłością. Czy kupisz słonia, dyrektorze?

— Z przyjemnością, *sir*. Słoń jednak niewiele wart jest ze względu na to, iż w całem mieście istnieje jeden tylko człowiek, któremu przydać się na coś może, i który go mógłby kupić.

— Mylisz się, dyrektorze. Właśnie napisałem przed chwilą do zarządu miejskiego ogrodu zoologicznego...

— Och! *sir,* a więc nie raczyłeś oddać mi pierwszeństwa...

— Ten będzie pierwszym, kto więcej zapłaci. A sądzę, że pan nim będziesz, dyrektorze, ponieważ znasz się na świetnem wykształceniu tego biednego słonia.

— Chodźmyż więc go obejrzeć ostatecznie i umówić się o cenę...

V.

Bembo stał w swojem pomieszczeniu, cichy, spokojny, jak zwykle. Czasami odwracał duży łeb, ażeby zobaczyć, czy nie idzie jego przyjaciel. Zawsze przychodził o pewnej godzinie. Dziś ta godzina minęła już, a jego niema. Cóżto znowu znaczy?

W stajniach panował ruch. Wprowadzano i wyprowadzano konie W ciemnawej arenie cyrkowej wobec pustych krzeseł i ławek odbywały się próby. Słychać było szorstkie wykrzykniki mowy ludzkiej, rżenie koni i trzaski bata.

Bembo nie zwracał uwagi na to, co się wokoło niego działo. Co dzień, słyszał to samo. Zdziwił się tylko trochę, gdy, odwróciwszy głowę, ujrzał tuż obok siebie za niską drewnianą przegródką leżącego o przepysznych kształtach konia.

Bembo był niezmiernie przyjacielskim. Skinął przyjaźnie trąbą sąsiadowi i rzekł:

— Dzień dobry!

— Dzień dobry, — odrzekł melancholijnie arab.

— Cóżto sąsiada umieszczono w takiej brzydkiej stajni? Ani lustra niema, ani żelaznego koszyka na siano? Tak oddzielnie od kolegów?...

— Już ja przestałem być ich kolegą, mój

sąsiedzie. Już nie pobiegnę nigdy wokoło cyrkowego koła, nie usłyszę grającej muzyki i nie zobaczę przed sobą lustra.

— Czemuż to?

— Wczoraj, przeskakując przez baryerę, złamałem nogę. Leżę tu noc całą w bólu; ruszyć się nie mogę. Wyczekuję, ot, rychło koniec ze mną zrobią.

— Rzeczywiście. Powinniby dać sąsiadowi przyzwoitszą klatkę...

— Ech! wszystko mi jedno, te parę godzin...

— Jakto parę godzin? Cóżto sąsiad o śmierci myślisz? A, pfe! na nogę się nie umiera. Zrośnie ci się, jak nic, i pięć lat jeszcze żyć będziesz.

— I pięciu godzin życia mi nie dadzą. O! znam ja tych ludzi! Obejrzyjno się sąsiad za siebie, czy nie idzie oprawca.

— Oprawca? Nie; ale oto nareszcie i mój przyjaciel, Roger. Dyrektor także się zbliża. Ale cóż tu ma do roboty oprawca?

— Przybędzie za chwilę, ażeby mnie zabrać i dobić.

— Co? co? co?

— Sąsiada to dziwi? A i cóżby zrobili teraz ze mną, kiedy już nie mogę i kroku zrobić naprzód? Brat mój, świetny Soliman, tak samo,

biedak, skończył. W moich oczach.... och! Ja się nazywam Harun-Al-Raszyd.

— Bembo... Bardzo mi przyjemnie. Ależ to okropne, co sąsiad mówisz. Czyż może być, ażeby ludzie byli tak niewdzięczni?...

— A cóżto! Czy ludzie są końmi lub psami, żeby mieli się do wdzięczności poczuwać? Dbają o nas, póki dla nich pracujemy, póki płuca mamy zdrowe, póki skórę naszę oblewamy własnym potem, który w pianę się nieraz zamienia. Dogadzają nam wtedy; mamy owies, koniczynę, czyściutką wodę. Ale niech tylko nieszczęśliwy jaki wypadek uczyni nas niezdolnemi do pracy. O, wtedy w jednej chwili ci przyjaciele zmieniają się w tyranów.... Nie darują ani jednego źdźbła trawy. Nadużywają łaski, którą Bóg udzielił, robiąc ich szafarzami swych darów. Nie podadzą ani kropli wody, choć, jak ot teraz, ogień pragnienia płonie mi w gardle. Ale widzę, że i z sąsiadem jakaś zmiana będzie... Dyrektor cię targuje.

— Jakto targuje?

— A no! twój przyjaciel sprzedaje cię, sąsiedzie.

— Sprzedaje? mnie? zwaryowałeś sąsiad!

— Pewnie, że nie mnie, bom dziś już nic

nie wart. Cóżto sąsiada tak dziwi? czyś nigdy nie był sprzedawany?

Bembo nie odpowiadał, nie słyszał zapytania. Odwrócił głowę i wyciągnął naprzod trąbę, jakby poszukując nią prawdy.

Roger z dyrektorem zawzięcie sprzeczali się o cenę. Harun-Al-Raszyd mruczał dalej:

— O, znam ja ich! znam ja ich!

Nagle Bembo zwrócił się do niego z zapytaniem:

— Znasz ich język?

— Ależ naturalnie, jedenaście lat.

— Co mówią teraz?

— Już sprzedany jesteś, sąsiedzie. Oto patrz. Dyrektor wypłaca twoję wartość. Twój Roger bierze te pieniądze... chowa. Ale oto i po mnie już idą...

Bembo stał ponury, nieruchomy.

— Przeczuwa pański odjazd, — rzekł z uśmiechem dyrektor — o, zwierzęta mają instynkt.

— Biedny Bembo, — rzekł Roger, obsypując słonia pieszczotami.

Bembo nie zważał na nie, jakby nie przyjmował ich wcale. Nie poruszył łbem, zwieszonym ku ziemi, mrógał tylko powiekami jakoś markotnie, a może i — groźnie.

W tej chwili rozległo się rżenie.

To Harun-Al-Raszyd, pociągnięty brutalnie za złamaną nogę, wydał głos bólu.

Bembo odwrócił łeb i rzucił sąsiadowi ostatnie pożegnalne spojrzenie.

VI.

Pan Roger Amalay, po raz ostatni zatem wstępował dziś na arenę cyrkową.

Publiczność, uwiadomiona przez usłużnego zawsze reportera o zmianie losu pogromcy słoniów, powitała go silniejszym i dłuższym, niż zwykle, oklaskiem.

Roger skłonił się bez tej uprzejmości, co zwykle. Oklaski tłumu były mu teraz obojętnemi. Jeszcze nie zaczął rozwijać popisów ze słoniem, a już pragnął, ażeby je skończyć. Żałował, że dał się namówić na to ostatnie przedstawienie.

Niecierpliwił się.

Pragnął jaknajprędzej uciec ztąd, uciec z tej przebrzydłej areny, z tego miasta, z tych krajów. Tęsknił do swojej zielonej, mgłą nakrytej wyspy, której nie widział przez długich siedm lat tułactwa i — poniżenia.

A Nelly! ta zła Nelly, którą ciągle kochał! Nelly, której wspomnienie dręczyło go... Męka,

która sprawiała mu tyle rozkoszy... Życie, które oświecała mu jedna gwiazda nadziei...

O, Nelly! Nelly!

Pragniesz bogactwa, a ja, — ja jestem bogatym.

Ależ przedstawienie... ach! prawda, przedstawienie.

Świsnęła szpicruta w powietrzu. Bembo rozpoczął swój marsz. Bac! bac! bac! szerokiemi stopami.

Nagle po kilkunastu pierwszych taktach, wbrew tresurze, słoń zbliżył się do Rogera z wyciągniętą trąbą.

Roger cofnął się.

Coto? Słoń zapomniał komendy!

Roger zadrżał. Nie miał czasu odwrócić się, zrobić pierwszego kroku ucieczki, gdyż Bembo pochwycił go już wpół trąbą i podniósł do góry.

Publiczność siedziała spokojnie, myśląc, że to jest zwyczajny bieg przedstawienia.

Nagle straszny, urwany krzyk rozległ się z areny...

Wzniesiona do góry trąba, trzymająca człowieka, zacisnęła się z całą siłą olbrzymiego potwora.

Krzyk przerażenia wydobył się z tysiąca piersi. Powstał zamęt... niektórzy uciekali.

Ale Bembo stał nieporuszony. Rozwinął tylko zakręconą trąbę, i na czarną ziemię areny cyrkowej upadło to, co przed chwilą jeszcze nazywało się Rogerem Amalay, — pogromcą słoniów.

LITERATURA MOJEJ ŻONY

Rano, zaraz po podniesieniu się z łóżka, podszedłem do ściany, na której wisiał kalendarz, i zdarłem z niego kartkę z wczorajszą datą, jakto czyniłem codziennie. Byłto dzień niezwykły w mojem życiu. Dzień trzynasty grudnia. Liczba ta odbita była dużemi czarnemi cyframi. U dołu zaś maleńkiemi literami było wymienione imię patronki tego dnia, świętej Łucyi.

To dzień imienin mojej żony. Czwarty już raz obchodzę ten dzień, opuszczony, samotny.

Stałem tak długą chwilę, wpatrzony w kartkę kalendarza. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Przynieśli kwiaty, wczoraj zamówione u ogrodnika. Ubrałem się śpiesznie. W tej chwili zapytano mnie, czy można już podać kawę.

— Dziękuję wam, moja Pawłowo, — odrzekłem — śpieszy mi się, a przytem nie jestem wcale głodny. Ale, ale, — dziś nie będę na obiedzie.

Pawłowa tym razem nie mruczała pod nosem, jakto robiła zawsze, ilekroć zapowiadałem moję niebytność na obiedzie. Byłato już dziesiąta godzina. Włożyłem na siebie jesienny paltot i podszedłem do biurka. Otworzyłem w niem skrytkę i wyjąłem z niej kilkanaście malutkich notesików, oprawnych w czarne ceratowe okładki. Byłato „literatura mojej żony“. Po chwili schodziłem już ze schodów z temi książeczkami w bocznej kieszeni paltota i z dwoma wieńcami świeżych kwiatów w ręku. Wsiadłem do dorożki i kazałem się zawieść na Powązki. Przy rogatce kazałem zatrzymać się dorożce i poszedłem na cmentarz pieszo. Przeszedłem wzdłuż starego muru, zpoza którego wyglądały drzewa smutne, ogołocone z liści, umarłe. Ale to nie jest śmierć wieczna. Na wiosnę obudzą się one, ożyją. To tylko ci, leżący tam, pod ziemią, nie obudzą się nigdy. Dla nich wszystko się już skończyło. Wszedłem na cmentarz pierwszą bramą. Ziemia, tak skąpo wydzielona każdemu z tych mieszkańców, pokryta była gdzieniegdzie płatami brudnego, topniejącego śniegu. Maleńkie pagórki czworokątne, podłużne, usypane tuż jeden obok drugiego w rzędach pod linią, wyglądały ze śniegu, który je otaczał dokoła. Pokryte były nie umarłą jeszcze, ale bladą, chorą, konającą już roślinnością. Przeszedłem

szeroką ulicę pomiędzy kamiennemi i żelaznemi pomnikami, minąłem olbrzymią, stokroć bardziej ponurą, niż sama śmierć, pieczarę i przestąpiłem drugą bramę wewnętrzną. Tu, na tym skromnym, czarnemi krzyżami ubranym, kawałku ziemi był jej grób. Doszedłem do niskiego, walącego się parkanu z desek. Grób Łucyi był ostatnim w rzędzie.

Położyłem dwa wieńce na tej ziemi, wyrzuconej z głębi, ażeby zrobić tam miejsce kobiecie, którą kochałem, którą tak kocham ciągle...

. . . .

Uspokoiłem się.

Tuż poza parkanem wrzało życie. Na szeroko roztoczonem polu stały chaty podmiejskie; po liniach krętych, przecinających te pola, toczyły się wozy, posuwali się ludzie. Tuż za parkanem cztery skrzydła wiatraka siekały powietrze. Regularny odgłos turkotu kół przelatywał przez parkan i zakłócał ciszę w tem mieście umarłych.

Usiadłem na drewnianej ławeczce pod parkanem o krok od grobu Łucyi i wyjąłem z kieszeni jednę z tych małych czarnych książeczek. Z głębokiem wzruszeniem zacząłem przewracać kartki, zapisane bladem pismem ołówka. Byłyto te zwyczajne książeczki, do których porządne

gospodynie zapisują wszystkie swoje drobne wydatki.

Oto tuzin szklanek, półmisek i parę rzeczy, w które zapomnieliśmy zaopatrzeć nasze gospodarstwo przed ślubem. Niżej herbata, cukier, chleb, znowu chleb, znowu cukier, mięso, masło i znowu chleb. I toż samo na kilku tych stroniczkach. Tak, nie byłyto zbyt rozkoszne te pierwsze miesiące naszego pożycia. Zadłużyłem się, ażeby urządzić jakotako nasze gniazdko, a teraz trzeba spłacać dług i procent. Pierwszy miesiąca: połowę pensyi zapisano na dług. A potem znowu chleb, herbata, cukier, mięso, chleb i znowu chleb.

Wszystkie nasze wydatki były zapisywane w ścisłych kolumnach. Naprzeciw nich stały wąskie kolumny cyfr.

I znowu chleb, powtarzający się, co trzeci wyraz. Pamiętam doskonale te okrągłe trzyfuntowe bochenki chleba, które Łucya przynosiła w koszyczku. Przyszedłszy do naszego pokoju na trzeciem piętrze, uśmiechała się wesoło, zapobiegając, abym nie pomyślał o tem, że to wchodzenie na tyle wschodów męczy ją i jest jej przykrem. Stawiała koszyczek, z którego wyglądał bochenek chleba, i natychmiast zapisywała nowy wydatek w książeczce.

Chleb, chleb, chleb. Jakąż ogromną ilość chleba zjadaliśmy wówczas! Codzień figuruje ta rubryka, naprzeciw niej stoi liczba groszy: dwadzieścia cztery.

Miałem wówczas trzydzieści rubli pensyi, z której dziesięć zabierali wierzyciele. Ale nie martwiliśmy się tem ani na chwilę. Łucya była tak oszczędną i tak gospodarną, że nie uczuwaliśmy braku.

Ale oto w książeczce zapisane nowe słowo: kartofle. A więc nadeszła głęboka jesień. Łucya nie kupowała kartofli, póki były drogie, jako nowalia. Pod kartoflami znowu chleb. Pod nim sól To krótkie słowo trafia się, co trzecia lub co czwarta stronica. Ale co to? wino! tak, wyraźnie wino, butelka na ośm złotych i ciastko. Cóżto za uczta? Ach! To siedmnasty września, moje imieniny! A potem znowu chleb, cukier, chleb...

Aha! węgiel. To już nadeszła zima. Na drugiej kartce znowu węgiel. Na trzeciej już niema węgla. Musiała nastąpić odwilż. Ale kilka kartek dalej znowu węgiel. Słowo to jest na każdej stronicy. A nawet jest ono ostatniem słowem pierwszej małej książeczki.

Wziąłem drugą książeczkę do ręki. Zaczyna się ona wyrazem chleb, a potem następuje węgiel. I znowu te małe złotówkowe wydatki, prze-

rywane kiedyniekiedy olbrzymią sumą siedmiu rubli, naprzeciw której figurowało objaśnienie, komorne za miesiąc...

Tu znowu coś niezwykłego: śmietany kwaterka, grzybów pół funta, — coto? Dzień dwudziesty czwarty grudnia, — wilia. Jest nawet *menu:* jedliśmy wtedy grzybową zupę, potem śledzie smażone, kapustę z grzybami, kluski z makiem i komput z suszonych śliwek. Pamiętam tę pierwszą wilię, — byliśmy wtedy tak weseli, tak szczęśliwi! W pierwsze święto Bożego Narodzenia jedliśmy zająca z komputem. Następne kartki długi czas nie pokazują nic nowego. Życie nasze toczyło się zwykłym, powszednim trybem. Szkło do lampy. Zapewne pękło przy mojej pracy w nocy, z mojej winy. Zapomniałem zmniejszyć płomień. A! znowu uczta, — wino, bakalie i ciasta. To dzień szósty kwietnia, rocznica naszego ślubu. Parę kartek dalej, figuruje jakaś niezwykła notatka. Brzmi ona: „Dnia drugiego maja ostatnia rata długu. Zapłacono wszystkiego sto trzydzieści rubli“.

Jakiżto radosny dzień był dla nas! Od tej chwili książeczka staje się jakby weselszą. O węglu już niema mowy. Chleb powtarza się znacznie rzadziej. Zato wchodzą do książeczki bułki. Co cztery kartki, powtarza się masło, a rzadziej

trochę kawa. Tu oto pod kawą spotykam nowy wyraz: lecznica. Pod niem: lekarstwo.

Zapadłem wówczas na oczy. Przyczyną tego było niskie mieszkanie. Siedząc długo w noc nad pracą przy lampie, zużywa się wiele nafty, która, jako dym, rozchodzi się po pokoju. Mała stancyjka bardzo prędko napełnia się dymem, który gryzie oczy i sprowadza na nie zapalenie. Dalej zapisany jest zadatek na komorne. Byłem wtedy już zdrów; jak widzę z obliczenia pomiędzy słowem lecznica a zadatek, chorowałem przez dwa tygodnie. Poczem zaraz zmieniliśmy mieszkanie. Nowy pokoik był obszerniejszym i wyższym od dawnego, i płaciliśmy za niego, jak tu widać, dziewięć rubli.

Trzecia i czwarta książeczka nie różnią się znacznie od drugiej. Ten sam chleb, cukier, bułki, kawa...

Kiedyniekiedy, ale w bardzo rzadkich odstępach, figuruje wydatek na obuwie lub na ubranie. Piąta książeczka zaczyna się radosną nowiną: „Dziś podwyższono pensyą mojemu mężowi". Tak, dostałem awans i dziesięć rubli podwyżki. Ale w książeczce nic się nie zmieniło; zaledwie z trudnością da się odszukać ślad dwóch biletów na galeryą do teatru lub dorożki, którą

w święto wyjechaliśmy za rogatki miejskie. A zresztą — ciągle toż samo.

Łucya nie chciała nic zmieniać w trybie naszego życia. Odrzucała projekty moje, co do przyjęcia służącej lub powiększenia mieszkania. Gdy nieraz nalegałem na to, wydobywała z głębi komody stary pugilares i, uśmiechając się, pokazywała mi kilka czerwonych zaoszczędzonych dziesięciorublówek. „Widzisz“, — mawiała w takim razie — „nie mielibyśmy nic na czarną godzinę. Dlaczego mam brać służącą, kiedy jestem zupełnie zdrową, a przytem praca mi służy?“

Dnia siódmego grudnia zapisano w książeczce: zimowy paltot męża rubli czterdzieści. Oto i pochłonięte dotychczasowe oszczędności mojej żony.

Ale oto ostatnia książeczka, niedokończona w zupełności. Pozostały w niej jeszcze trzy puste, niezapisane kartki. Na pierwszej zaraz stronie trzy razy zamieszczono wizytę doktora. Łucya zachorowała, a ja byłem w rozpaczy, niemogąc pozostawać dnie całe przy jej łóżku na jej usługach. Musiałem odsiedzieć codziennie swoje ośm godzin pracy biurowej, a wracając do domu, przynosiłem jeszcze z sobą całą plikę papierów do obrobienia. Byłem przeciążony pracą. W biurze wtedy zapanował chaos. Wykryto różne brudne malwersacye. Naczelnik wydziału podał

się do dymisyi. Buchhalter i jego pomocnik byli zawieszeni w służbie. Pracowałem za nich wszystkich, nieprzestając pracować za siebie.

Wtedyto zgodziłem służącą, dzisiejszą Pawłową, którą postanowiłem zatrzymać i wtedy, gdy Łucya wyzdrowieje. Obiecywałem sobie nie ustąpić pod tym względem i oprzeć się wszelkim protestacyom Łucyi. Kto wie, czy ta jej choroba nie jest skutkiem przeciążenia w pracy?

Pomimo choroby, Łucya nie przestała się zajmować gospodarstwem i zapisywać wydatków w książeczce. Jakże smutnie wygląda to wino, kupione wskutek polecenia doktora! A ile razy na każdej stroniczce zapisane jest lekarstwo? Choroba Łucyi przedłużała się. Trwała już miesiąc. Ja sam czułem, że upadam prawie ze znużenia. Noc przepędzałem w fotelu, nierozbierając się. Zrywałem się na każde głośniejsze odetchnięcie Łucyi. A w dzień ta praca, wyczerpująca resztki moich sił, praca, którą powinno odrabiać czterech ludzi!

Pewnego dnia jednak skończyło się to wszystko. Zostałem wynagrodzony. Prezes przywołał mnie do swego pokoju i osobiście doręczył mi nominacyą na buchhaltera zarządu. Dwa tysiące rubli pensyi! Byłoto szczęście, którego spodziewałem się za lat dziesięć! Uszczęśliwiony, pobie-

głem do łóżka mojej chorej żony. O! teraz skończy się nasza bieda, myślałem. Nie pozwolę ci się tknąć żadnej pracy. Będziesz miała służącego i kucharkę. Będziemy żyli szczęśliwi, bez troski. Wynagrodzę ci te lata pracy i biedy!

Łucya odrazu poznała zmianę we mnie.

Powiedziałem jej wszystko z taką wiarą w przyszłość, że zdawało mi się, iż ona lepiej podziała na jej organizm, aniżeli te aptekarskie flaszki, ustawione na stole. Uśmiechnęła się do mnie z radością, jak gdyby ziściły się jej marzenia... i tejże nocy... umarła.

. . . .

Nie podzieliła ze mną tego życia, które obiecywało spokój i szczęście. Osłodziwszy mi lata ciężkiej pracy i walki o chleb, przeprowadziła mnie do progu lepszego bytu i cofnęła się.

Nie doczekała się!

. . . .

Nadszedł wieczór. Słońce już zaszło, niepokazawszy się od rana ani razu. Krótko trwa dzień grudniowy. Zebrałem książeczki mojej żony, schowałem je i powolnym krokiem oddaliłem się od tego miejsca wiecznego spoczynku. Za rogatką na ulicach miasta panował ruch. Słyszałem turkot dorożek, gwar mowy ludzkiej.

Wstępowałem w to ognisko gorączkowego ruchu z niechęcią, jak gdyby ciągniony przez konieczność przeżycia tego, co mi przeznaczono. Ziemia nie ma dla mnie żadnego uroku, odkąd ona tam, — pod ziemią.

MAMA CRÉTIEN

Czy przypominacie sobie mamę Crétien? — No, tę... matkę małej Cecylii, aktorki. Czyż nie pamiętacie? To ta, która marzyła o wydaniu swojej córki zamąż — za księcia peruwiańskiego... Widzę, że zapomnieliście zupełnie. A przecież tak niedawno przedstawił wam ją Ohnet w „Elizie Fleuron“.

Co prawda, autor wówczas miał ważniejsze myśli na głowie i tę zacną matronę traktował bardzo lekkomyślnie. Nikt z nas nie mógł dobrze przyjrzeć się jej twarzy, tak głęboko wsuniętą była pomiędzy kulisy, niebiorące udziału w przedstawieniu, — tam, gdzie się pali tylko jedna mała olejna lampka, i to, jak dyrektor utrzymuje, przez zbytek Ha! nic dziwnego. Ohnet jest bogaczem, a bogaci ludzie obracają się w świecie, oświetlonym gazem i elektrycznością; a do takich tam dziur, gdzie olejna lampa ma ambicyą świecenia,

zaglądają wprawdzie czasem przez fantazyą, ale na krótko. Dlatego mamę Crétien poznaliśmy bardzo mało, i nie dziwię się, że niektórzy zupełnie wypuścili ją z pamięci. Ja sam nawet przypomniałem sobie ją dopiero w tym roku, gdym pojechał do Łodzi z ważną misyą dyplomatyczną od całej rodziny do naszego kuzyna, Wacka, który właśnie wstąpił do teatru prowincyonalnego, jako lekki amant. Poznałem wtedy komika, który był daleko dowcipniejszym, niż Pavilly. Dyplomatyczne konferencye z moim kuzynem trwały dość długo. Nie chciał o niczem ze mną mówić przed występem swoim we Frou-Frou. Odpowiadał mi na wszystko: „Zobaczysz“. W oczekiwaniu na większą jego skłonność dla mojej misyi, nudziłem się. Dla zabicia czasu i nudów chodziłem za kulisy podczas przedstawień, przeciw czemu nikt nic nie miał, i na próby, co jednak wywoływało opozycyą ze strony aktorów. Nie odrazu zrozumiałem, o co im w tym ostatnim razie idzie. Później dopiero zauważyłem przyczynę, której oni sami zapewne wyjaśnićby mi nie mogli. Chodziło o to, że osoby, przypatrujące się próbom, nie mają zwyczaju zdejmować kapeluszów. Siada się w czwartym rzędzie krzeseł, zatopionych w grubym pomroku, w paltocie i z kapeluszem na głowie; odważne osoby, nieobawiające się skutków „kary

policyjnej", zapalają nawet papierosy. Tego wszystkiego nie mogą znieść aktorowie, kapłani sztuki. To profanacya ich świątyni. Przekonałem się o tem, gdy jeden z aktorów seryo, skończywszy swoję rolę w drugim akcie, zamierzył dalszej próbie przypatrzeć się z krzeseł. Usiadł on tuż obok mnie i, z namaszczeniem zdjąwszy swój cylinder, postawił go na krześle przede mną.

Na próbach tych bywała kobieta w średnim wieku, ubrana licho, prawie biednie. Siadywała w ostatnim rzędzie krzeseł, w takiej ciemności, że zaledwie kontury jej widzieć można było. Nie opuściła ani jednej próby. Nikt jej nie witał i nie żegnał. Zainteresowałem się nią i pewnego razu spytałem komika, z którym weszliśmy na stopę dobrej znajomości:

— Kto jest ta dama, tam, w głębi?

— To? to jest... to jest taka... mama Crétien.

— Ach, tak? mama Crétien? a gdzie Cesia?

— Tam na scenie. Oto się podnosi z krzesła.

— Ma piękną figurę. A książe peruwiański jest?

— Ma przyjechać jednym z najpierwszych pociągów. Mama Crétien nic nie wie, że książe peruwiański jest przesądny i nigdy nie używa za-

dnych środków lokomocyi. I teraz do nas tu przybywa pieszo. Dlategoto trwa tak długo.

— Ale czemuż ta matrona ukrywa się w cieniu? W teatrze pana Roumbeaud mama Crétien brała bardzo czynny udział w tych rozmowach, tam, na scenie, podczas prób?

— Każda mama Crétien tak zaczyna swoję karyerę...

— Jaką karyerę?

— Karyerę mamy Crétien. Ale jestto tylko faza, pewien okres czasu, dłużej lub krócej trwający. Opowiada ona wtedy o peruwiańskim księciu, który, lada dzień, ma przybyć, i wierzą jej...

Ci, co nie wierzą, robią delikatne aluzye, pozując na dobrze wychowanych ludzi. Mama Crétien tak wiele codzień mówi o dobrem wychowaniu. Stopniowo jednak ta pierwsza faza mija, przechodzi w drugą, mniej przyjemną. Aktorowie śmieją się jej w oczy. Aktorki nie darowują jej ani jednej zacerowanej mozolnie dziury na jej salopie. Nawet sufler odbiera jej krzesło, na którem siedzi, ażeby na niem położyć egzemplarz próbowanej sztuki. Jeżeli kto zwraca na nią uwagę, to wtedy tylko, gdy znajduje sposobność, by móc rzucić w nią pocisk jadu. Mama Crétien

cofa się w głąb krzeseł. Nikt już nie wierzy w peruwiańskiego księcia.

Nikt? Nieprawda! Ona wierzy w niego. Ona zawsze w niego wierzyć będzie. Każda mama Crétien jest taką. Czyż jej córka nie warta jest stać się księżną... nawet księżną peruwiańską? Czyż nie jest piękną? Jaka szlachetna, wyniosła postawa! Jakie imponujące rysy twarzy; czy nie znać w nich szlacheckiego pochodzenia? Jej bowiem babka urodziła się szlachcianką. Czy nie jest cienką w pasie, jak żadna w towarzystwie? Czyż nie ma ładnych, białych rąk? Spojrzcie tylko na lewą rączkę. Jeden z paluszkow owinięty jest złotym pierścionkiem z dwoma palącemi się, prawdziwemi dyamentami. A w uszach, jakie piękne zwieszają się szmaragdy, zawieszone na cieniutkich złotych niteczkach! Czy ma niegustowne tualety? Któraż dama w towarzystwie posiada tyle sukien, a nawet czy ma choć jednę taką suknię?

Mama Crétien nigdy nie opuszcza córki. Przyprowadza ją na próby i na przedstawienia, a następnie zabiera z sobą do domu. Podczas ładnej pogody spaceruje z nią po głównych ulicach miasta, zwykle pieszo, niekiedy jednak w dorożce. Spotkałem kilkakrotnie na ulicy te dwie kobiety.

Szły obok siebie, jedna elegancka, strojna, młoda, druga stara i źle ubrana; gdy nadchodził który z jej znajomych i grzecznie uchylił kapelusza, młoda dama odpowiadała mu kiwnięciem głowy, a stara, — stara znikała na chwilę. Nie żądała ona ukłonu dla siebie. Chowała się pomiędzy przechodniów. Chciała, ażeby córkę tylko widziano. Oddawała Cesi wszystko, co się jej samej należało. Po chwili zjawiała się obok córki, uradowana, z rozjaśnioną duszą, jak gdyby ten ukłon był hołdem. Gdy jechały w dorożce, Cecylia siedziała rozparta, oglądała się na przechodniów, przyjmowała ukłony znajomych i kolegów. Ją tylko widać było. Mama Crétien nikła w dorożce. Zdawało się, iż formy swoje zastosowywała do wgłębionego pudła. Zpod oka tylko rzucała spojrzenia na trotuary.

W cnotę Cecylii wierzyli wszyscy. Prowadzenie jej było bez zarzutu. Starania matki otoczyły ją, jakby ogródek kratkami. To też ukłony, któremi ją witano, różniły się trochę od tych poufałych: „dzień dobry", które rzucano innym kobietom z teatru Różnica ta była dumą mamy Crétien. Ci z aktorów, którzy nie potrafią powiedzieć coś dobrego o swoich koleżankach, a wiadomo, iż aktorowie są najzłośliwszą odmianą ludzi, utrzymywali, że jeden tylko powód wprowadza

kobiety na teatralne deski. Jestto błąd. Tylko mężczyźni wstępują do teatru z zamiłowania. Na tej prawdzie opierali się niektórzy, chcący koniecznie coś złego powiedzieć o Cesi. Wogóle jednak oddawano sprawiedliwość córce mamy Crétien. Tłusty dyrektor, gdy mówił o niej, nie zapomniał nigdy dodać nawiasem, że to jest bardzo „porządna“ kobieta, przyczem robił minę taką, jak gdybyto było jego jedynie zasługą.

Poznałem Cesię. Nie byłoto niewiniątko. Byłato zepsuta dziewczyna. Teatr uważała za miejsce, gdzie można się pokazać wobec wielu osób... siedzących w pierwszych rzędach krzeseł. Polowała na męża, na bogatego męża, któryby jej dał świetne utrzymanie. Mojem zdaniem, nie różniła się ona wcale od swoich koleżanek z chóru, które były tylko mniej przewidujące. Natomiast mama Crétien była bardzo interesującą przy bliższem poznaniu, tylko nietrzeba było śmiać się z niej, lecz ją obserwować. Nie była ona niesympatyczną, jak jej córka, choć obie kochały jednę tylko istotę na świecie... Cecylię. Wprowadzenie Cesi do teatru było pomysłem mamy Crétien. Jakato doskonała rzecz ten teatr. Czyż mogła być lepsza wystawa? Cesia pokazywać się będzie i zachwycać. A wtedy ujrzy ją siedzący w loży peruwiański książe, zakocha się i przy-

biegnie za kulisy, ażeby ofiarować jej swoję książęcą koronę. Mama Crétien chowała Cesię dla księcia. Przed dwoma laty, gdy została wdową po zawiadowcy stacyi kolejowej, Cesi trafiała się partya. Oświadczył się o jej rękę ekspedytor towarów pośpiesznych. Każda pani zawiadowczyni przyjęłaby dla swej córki człowieka, mającego ładny tytuł, sześćset rubli pensyi, mieszkanie, opał i światło. Ale ona odrzuciła wszystkie te piękne rzeczy. Wołała wstąpić do teatru i zostać... mamą Crétien.

Opowiadała mi to sama, gdy pewnego dnia złożyłem jej wizytę. Nie spodziewała się, ażebym odwiedził ją w jej własnem mieszkaniu. Jestto nieprzyjętem w ich świecie. Składa się bowiem pierwszą wizytę podczas antraktu za kulisami; rewizytę zaś odbiera się w gabinecie restauracyjnym. Zastałem matkę, nastawiającą samowar; córka kołysała się w bujającym fotelu. Obie były bardzo zakłopotane. Po chwili jednak uścisnęła mi rękę z wdzięcznością. Byłem przekonany, że posądzała mnie o to, iż przychodzę tu pod wrażeniem, jakie wywarła na mnie Cesia Usunęła się też dyskretnie w kąt, przeprosiła mnie i zabrała się napowrót do łupania drzewnych węgli „Porozmawiaj teraz z moją Cesią“, — myślała sobie zapewne ta dobra kobieta — „przekonaj

się zbliska, jakito skarb wdzięków i rozumu. Skorzystaj ze sposobności. Napieść twoje oczy i uszy tem zjawiskiem“. Ale ja wziąłem krzesło, postawiłem je obok kuchenki, i usiadłszy na niem, zacząłem pomagać mamie w nastawianiu samowara. Ona nożem rozdzielała duże kawały węgla na malutkie węgielki, a ja je wrzucałem w żarzącą się rurę. Wszyscy troje bawiliśmy się bardzo dobrze. Za moję pracę poproszono mnie na herbatę, przy której wszakże mama Crétien doznawała trochę niepokoju Zapewne obawiała się, czy nie zapoważnie myślę o Cesi.

Córka mamy Crétien miała drugiego konkurenta. Byłto aktor (ciekawy jestem, który? poznałem ich wszystkich), i ten człowiek miał czoło prosić o jej rękę. Aktor? Jak bezczelny był ten człowiek! A co przytem było śmiesznego, i to tak śmiesznego, że przestawało być oburzającem, to to iż ten, człowiek na wstępie swoich oświadczyn powiedział, że zdecydował się na nie — po namyśle. Czyż matka na to ubrała swoję córkę w brylanty i koronki za uskładane oszczędności swego męża, zawiadowcy, ażeby ją taką w brylantach i koronkach oddać za żonę aktorowi? A to dobre sobie!

Nazajutrz zapytałem pod sekretem komika, kto był tym konkurentem. Zrobił zdziwioną minę.

— Blaga! blaga, nic więcej, — rzekł. — Nikt nie myślał o takiem głupstwie. Aktorowie mają dużo wad, ale niebrak im piątej klepki. W takich razach żeni się nietylko z córką, ale i z matką.

Czyżby mama Crétien kłamała? Nie posądzam jej o to, i pokazało się, iż miałem słuszność Przekonał mnie o tem jenerał z komedyi francuskiej. W tem miejscu muszę objaśnić, iż w armii francuskiej są dwojakiego rodzaju jenerałowie. Jedni są starzy, żenią się z młodemi kobietami i bywają zdradzani przez swoich siostrzeńców, których wychowali i zrobili dla nich dużo pięknych rzeczy. Inni są także starzy, ale służą tylko dla ozdoby salonu w akcie trzecim, gdy ma się odbyć skandal na balu; o ich żonach i siostrzenicach nic się dowiedzieć niemożna, ponieważ mają zaledwie pół arkusza roli. Znajomy mi jenerał należał do rzędu tych ostatnich i wczoraj właśnie występował w „Świecie nudów“ Pailleron'a. Rzekł on do mnie:

— Tak, panie; mama Crétien, mówiła prawdę. W Cecylii kochał się szalenie jeden z naszych kolegów, i to do tego stopnia, iż chciał się z nią żenić. Ponieważ jestto tajemnica, o której wszyscy wiedzą, powiem panu, kto to był. Byłto nasz pierwszy komik.

A zatem było to prawdą.

Pewnego razu wieczorem, po przedstawieniu, wstąpiłem do restauracyi przy teatrze. Przy jednym ze stołów siedziała Cesia, mama Crétien i jakiś pan. Pili szampana, a następnie wszyscy troje wsiedli do jednej dorożki. Brała mnie ogromna ochota śledzenia ich, jednak nie zrobiłem tego. Poprzestałem na zasięgnięciu informacyi u obu moich znajomych. Jenerał uspokajał mnie.

— O, to niewinne! zupełnie niewinne; dyrektor płaci gażę tak nieregularnie... Często braknie. Zresztą, cóż w tem złego, że czasem ktoś kupi kolacyą, a następnie odwiezie dorożką do domu?

— No, jeżeli tylko tyle...

— Całą moję dywizyą stawiam na zakład, że nic więcej. Przed domem następuje pożegnanie. Panie idą na górę do siebie, a pan odjeżdża tą samą dorożką do domu.

Byłoto niezawodnie prawdą, gdyż komik potwierdził słowa jenerała.

— Tak mówił. To jest nikczemne, ohydne. Tunia, ta niska, jasnowłosa Tunia, jest sto razy uczciwszą od tej córki mamy Crétien. Wyobraź pan sobie, że płacisz za towar, którego ci później nie przysyłają. Jestto poprostu oszustwo handlowe. Tak, oszustwo, innej nazwy tu niema.

Czy uważałeś pan dzisiaj, tam przy tym stole, jakiś facet kupił im kolacyą? Doskonałą kolacyą, z winem szampańskiem, za którą grubo zapłacił. Za-pła-cił. Wszyscy to widzieliśmy, i wiesz pan, jak się to skończy? Oto facet zawiezie je do domu, zapłaci naturalnie dorożkę, potem wszyscy wejdą do sieni, i wtedy — Cesia odwróci się, poda mu rączkę i wyszczebiocze słodziutkim głosem: „Dziękujemy panu. Niech się pan dalej nie fatyguje, dobranoc. My tu zaraz mieszkamy“. Wyobraź pan sobie wtedy minę tego człowieka, który spodziewał się wszystkiego, i któremu się pozwolono wszystkiego spodziewać, jedząc kolacyą za jego pieniądze...

Nazajutrz znowu poszedłem do mamy Crétien. Cóż było robić? „Frou-Frou“ jeszcze nie wystawili, a mój kuzyn ciągle się uczył swej roli w lustrze przy drzwiach zamkniętych. Cesia spała. Rozmawiałem więc półgłosem z jej matką. Zwierzyła mi się ze swoich marzeń... o peruwiańskim księciu. Widocznie nie miała obawy, że się będę z niej wyśmiewał. Chciała przez grzeczność obudzić swoję córkę, lecz prosiłem, aby tego nie czyniła Powiedziałem, iż jest zachwycającą, gdy śpi. Mama Crétien, korzystając z tego snu, odkryła mi jeszcze jednę różę w wianuszku cnót swojej córki. Ona jest sprytna. Dała tego dowód.

Było to podczas owych starań aktora. Cesia zdawała się być nim trochę zajętą. Pozwalała na silne ściskanie rączek, przyjmowała od niego kwiaty, które wpinała we włosy. Ona, mama Crétien, była tem poważnie zaniepokojona. Ale, jak się okazało, obawa była płonną. Byłato tylko rozumna dyplomacya, nie zaś sympatya... broń, Boże! Aktor ten miał wpływy w dyrekcyi, i przez niego dano Cesi kilka dobrych ról, jak naprzykład miss Lucy w „Świecie nudów".

— Wszak prawda, że doskonale odegrała tę rolę? Czy zauważyłeś pan, że w każdym akcie miała inną tualetę?

Naturalnie, iż zauważyłem to. Wczorajsza miss Lucy była doskonałą. Wymknęła się ona z salonu ukradkiem w akcie drugim podczas czytania pięcioaktowej komedyi wierszem laureata akademii francuskiej, ażeby podążyć na schadzkę z profesorem Bellac'iem. W akcie trzecim, w oranżeryi, czy też w ogrodzie, wchodzi miss Lucy, zdążając na umówioną schadzkę, — ubrana już w inną suknię. Musiała się chyba przebrać na schodach, albo w sieni. Swoją drogą, mama Crétien była tem zachwyconą. W dalszym ciągu nazwała ona swoję córkę kosztownem cackiem. W tejże chwili „kosztowne cacko" chrapnęło. Cesia miała wielu wielbicieli. Mama Cretien po-

kazywała mi na to dokumenty. Prawdziwe, piśmienne dokumenty z autentycznemi podpisami. Byłyto listy kupców, obywateli ziemskich i adwokatów; wszystkie one miały jedno słowo wspólne: *załączam*, użyte w rozmaitych gramatycznych odmianach. Po tem słowie następowały rzeczowniki takie, jak: pierścionek, bransoletka, broszka. Kupcy umieszczali to słowo na początku swoich listów, obywatele ziemscy w środku, adwokaci w *post scriptum*. No, – pomyślałem sobie, to tam w tej górnej szufladzie tej orzechowej komody, musi być pół sklepu jubilerskiego. I oczekiwałem, rychłoli mama Crétien wstanie i otworzy górną szufladę orzechowej komody. Ale mama Crétien nie wstawała. To dziwne, dlaczego ona nie pokazuje mi tych kosztowności? Wszak przed chwilą pokazała mi nową balową suknię jedwabną *chamois*, ubieraną kremowemi koronkami! Niestety! Ludzie naszych czasów są bardzo źle wychowani... – twierdziła mama Crétien – Większość tych kosztowności została wycofana przez ofiarodawców. Po mniejszym lub większym przeciągu czasu kategorycznie zażądano ich zwrotu. Coto wszystko miało znaczyć? Dlaczego je dawali? Zaledwie kilku z obywateli ziemskich nie uczyniło tego. Oto naprzykład broszka, ta,

co leży na stole.... Wogóle jednak ludzie naszych czasów są tak źle wychowani...

O komiku!

Nareszcie zagrano „Frou-Frou“. Kuzyn mój zrobił furorę. Tegoż wieczoru dano mu główną rolę w „Oj! młody, młody!“ Fredry; sztukę tę umyślnie dla niego wystawiano. Nazajutrz; gdym zaszedł do niego, rzucił mi się na szyję rozrzewniony, szczęśliwy. Uścisnąłem mu rękę i wyszedłem, nic niemówiąc. Wieczorem wsiadłam na pociąg i odjechałem. Nie miałem już tu co robić. W drodze myślałem o mamie Crétien. Widziałem ją, jak nastawia samowar, jak ceruje swoję wypłowiałą salopę, jak przygląda się jedwabnej sukni *chamois*, ubranej kremowemi koronkami. Widziałem ją, jak spogląda kochającym wzrokiem na usypiającą Cesię, jak sama kładzie się na łóżku i okrywa się brudną, niepowleczoną kołdrą. Nocna lampka rzuca blade, przyćmione światło na ich pokoik. Cesia już śpi; oddycha równo, czysto, spokojnie. Kochane dziecko. Czy jej przyszłość będzie tak piękną i tak świetną, jak marzenie jej matki?! Czy uśmiechnie się jej życie, ten ponury i milczący sfinks? Czy spotka ją nagroda za tyle trudów, ofiar i poświęceń jej matki? Czy jej Bóg wysłucha? O, tak! Przyszłość

będzie świetna! Cesia będzie szczęśliwą, — bogatą! Bóg jest wszechmocny!...

Mama Crétien usnęła... W tej chwili pociąg przejechał przez stacyą, niezatrzymując się na niej. Rzuciwszy okiem na latarnie, oświecające pusty stacyjny budynek, przypomniałem sobie te schody, prowadzące za kulisy, które były oświetlone takiemiż latarniami. W umyśle moim stanęli wszyscy ci ludzie, wyśmiewający się z tej kobiety, która była śmieszną dlatego, że kochała swoję córkę. Śmiejcie się! śmiejcie się! jeżeli to was tak bawi. Czy bardzo wam dobrze z tem, że tak mało widzicie w swojej przyszłości?!

Szczęśliwi są ci, którzy mogą marzyć i wierzyć... chociażby w peruwiańskiego księcia.

POWOŁANIE

Byłato najpodrzędniejsza figura w naszym teatrze prowincyonalnym, utensilium raczej, niż człowiek. Najstarszym był wprawdzie i najwierniejszym dyrektorowi członkiem trupy, wierność ta nie pochodziła jednak z jakichkolwiek szlachetniejszych pobudek. Stary był zupełnym niedołęgą, człowiekiem zmarnowanym, prawie nieużytecznym. Dyrektor trzymał go z litości przez wzgląd na długie lata, jakie przebyli razem. Gdyby go wydalił, Wiórkiewicz nie znalazłby miejsca ani w innej trupie, ani nigdzie na świecie, i przyszłoby mu zginąć wprost z głodu.

Oddawna już nie puszczano go na scenę. Wystawianie liczb na biletach teatralnych i przepisywanie ról - oto wszystko, co mu powierzano, i za co otrzymywał tyle, że ledwie mógł opłacić najgorszą w całem mieście stancyjkę i jakie takie pożywienie. Bywał jednak często głodnym, po-

nieważ wolał parę kieliszków czystej, niż obiad. Upijał się, gdy mógł to zrobić. Nikomu to wprawdzie nie szkodziło, bo i popijanemu przepisywał role bez błędów; gdy go jednak dyrektor w tym stanie zobaczył, nie odmawiał sobie nigdy satysfakcyi powiedzenia mu małej nauczki moralnej:

— I cóż! znowu się urznąłeś, ty, stara świnio!

Wiórkiewicz przyjmował to w milczeniu. Na jego starej, przedwcześnie zwiędłej aktorskiej twarzy nie przemknął ani cień wstydu i zadraśniętej ambicyi.

Ta twarz jego pomarszczona, obwisła, jakby z kilkunastu woreczków złożona, była zawsze obojętną. Wzrok ponury, gdy Wiórkiewicz pragnął wódki, bezmyślny, gdy pragnienie to zaspokoił, miał ciągle wyraz apatyczny i senny. Nieraz zadawałem sobie pytanie, ile myśli jest tam w tej zwiędłej głowie. Parę razy, gdy przychodził na próby, aby przynieść świeżo przepisane role, mówiłem mu: „Dzień dobry“, i nawiązywałem rozmowę. Gdy był trzeźwy, trudno było cośkolwiek się od niego dowiedzieć. Jąkał się i zachowywał, jak człowiek, od towarzystwa ludzi odwykły.

Raz mu kupiłem parę kieliszków wódki i to go zrobiło wymowniejszym. Wtedyto przekona-

łem się, do jakiego stopnia dojść może w człowieku obojętność na otaczające go życie.

Wiórkiewicz niczem się nie interesował. Zupełnie mu było obojętnem, czy grają dziś komedyą, czy operetkę, czy jest w Łodzi, czy w Radomiu, czy trupa ma powodzenie, czy nie. Nie umiał wymienić pięciu tytułów sztuk, będących na repertuarze.

Wiórkiewicz stronił od teatru. Rzadko też można było go tam spotkać, a zawsze z paru arkuszami ról, świeżo przepisanych, pod pachą. Bez interesu nie przychodził. Na przedstawieniach nie bywał nigdy.

To też zdziwiłem się nieco, gdym go pewnego wieczoru zobaczył, siedzącego w ostatnim rzędzie krzeseł i patrzącego z zajęciem na scenę. Cóżto przyciągnęło tu tego nawpół trupa?

Tą siłą magnetyczną była „Panna mężatka“ Korzeniowskiego.

Dyrektor kiedyniekiedy grał tę sztukę, jak mówił, „dla siebie“. Miał kiedyś ogromne w niej powodzenie i lubił pokazać nam, że jest jeszcze aktorem.

Zapewne i Wiórkiewicza pociągnęły tu wspomnienia. Niezwykle też bo był zajętym. Woreczki na twarzy rozciągnęły się nieco, pochylona zwy-

kle głowa podniosła się teraz do góry, wzrok błyszczał.

Usiadłem obok niego.

— A co, — rzekłem, gdy kortyna zapadła — przypomniały się dawne czasy?

— He... hm... — bąknął.

— Zapewne grałeś pan w tej sztuce

— A jakże, — odrzekł żywo — grałem u Rusanowskiego.

— Jaką rolę?

Zająknął się znowu.

— Pułkownika.

Po następnym akcie poszedłem za kulisy i zapytałem dyrektora, czy też Wiórkiewicz miał, jakto mówią, *swój czas* w przeszłości.

— Nigdy — odrzekł mi dyrektor. — Byłoto zawsze popychadło, nic więcej. Póki jeszcze nie pił, można było go używać do suflowania

— Grywał jednak role.

— W chórze.

— No... grał przecież pułkownika w „Pannie mężatce".

— Gdzie? kiedy? u kogo?

— U Rusanowskiego podobno.

— Kto panu o tem mówił?

— Sam Wiórkiewicz.

— Ta małpa już do reszty zgłupiała. Nie

wierz mu pan. Rusanowski mu nigdy żadnej roli nie dał, oprócz lokaja. Przecież u Rusanowskiego byliśmy razem, i ja zawsze grałem pułkownika po nieboszczyku Kamińskim...

Po przedstawieniu raz jeszcze zobaczyłem się z Wiórkiewiczem, ale tym razem on szukał mojego towarzystwa. Widocznie „Panna mężatka“ silnie poruszyła jego wspomnienia.

Usiadł obok mnie w restauracyi i usiłował zawiązać rozmowę. Czuł potrzebę wygadania się. Tego wieczoru był rozmownym, jak nigdy, i opowiedział mi niemal ze szczegółami całe swoje dzieciństwo.

„Od tylego bębna“ (pokazał ręką) „lubiłem teatr. Jeżeli matka chciała zachęcić mnie do uczenia się, obiecywała, że zabierze z sobą do teatru. Gdy zacząłem stawiać kreski, wie pan, ukośne kreski, od których zaczyna się nauka pisania, zrobiłem z matką umowę: za dwie strony bez jednego kleksa — bilet do teatru. Nieraz musiałem i sześć stron napisać, gdy mi atrament psocił; w ten sposób prędko nauczyłem się pisać.

„Nie znać tego po mnie, ale w swoim czasie byłem nielada łobuzem. Otóż matka, chcąc mnie uspokoić, straszyła ojcem: „Poczekaj, wisusie“, — mawiała — „jak przyjdzie ojciec, to się z tobą rozmówi“. Ale, jeżeli moje figle zrobiły jej przy-

krość, gniewała się inaczej: „Nie chcesz mnie słuchać, niedobry chłopcze. Zapamiętaj to sobie i wiedz o tem, że w przyszłym tygodniu przyjeżdża do nas teatr“.

„To było skuteczniejsze, niż groźba poskarżenia się przed ojcem, chociaż nieraz dostawałem od niego dobre cięgi. Zaprzestawałem natychmiast figlów i podbiegałem do matki; „Teatr przyjeżdża?“ — pytałem! — „Ehe! mama pewnie tak żartuje, żebym ja był grzecznym. Ja i tak będę grzecznym, jak Bozię kocham, ale niech mama powie prawdę, czy przyjedzie teatr?“

„Byłem najstarszym z rodziny; matka mnie bardzo kochała; żeby nie pozostawiać pieszczocha na cudzej opiece, zabierała mnie ze sobą, gdy szła do teatru. Naturalnie, że, póki nie rozwinąłem się nieco, usypiałem na przedstawieniach. Ale później, gdy już rozumiałem, co się działo na scenie, tak mi się to podobało, że żyłem z ciągłą myślą o teatrze

„Gdy skończyłem lat dziewięć, matka pozwalała mi samemu bez opieki chodzić do teatru. Ojciec był urzędnikiem izby skarbowej. Nie byliśmy więc zbyt zamożni, i częsta bytność w teatrze matki ze mną zadużoby kosztowała. Trzeba było kupować dwa krzesła. Jeżeli zaś sam szedłem, cała uciecha kosztowała złotówkę. Upro-

sić matkę o taką małą sumę było łatwo; to też, gdy teatr bawił w mieście, najmniej dwa razy w tygodniu bywałem na przedstawieniu.

„Z poważnej sztuki, której nie mogłem zrozumieć w zupełności, wracałem znudzony i śpiący. Ale po melodramatach, które wtedy były bardzo w modzie, przychodziłem do domu z głową, pełną wrażeń, i czułem potrzebę podzielenia ich z matką. Gdy ojca nie było w domu (a przepędzał czasami noce na kartach u kolegów), podchodziłem do łóżka matki i póty zapytywałem: „Mamo! czy mama śpi?“ póki jej nie rozbudziłem. Wtedy z entuzyazmem opowiadałem jej treść sztuki. A nieraz opowiadanie moje doprawdy zachęciło matkę do poznania tej lub owej rzeczy. — „Jak grać będą kiedy to samo“, — mówiła — „zapewne się wybiorę do teatru“. — „A niech i mnie mama weźmie ze sobą“, — proponowałem naiwnie — „to ja będę mamie mówił naprzód, co kiedy będzie“.

„Codzień niemal urządzałem przedstawienia w domu. Dwa krzesła i oparte o nie dwie skórzane poduszki, ściągnięte ze sofki, służyły mi za kulisy boczne. Prześcieradło, zawieszone na sznurku, doskonałą było kortyną. Dwie chustki wełniane, jedna matki, druga służącej, wypełniały dekoracye wewnętrzne. Proste krzesło słu-

żyło raz za okno, drugi raz za balkon, w miarę potrzeby. Gdy akcya rozegrywała się w górach, stawiało się z tyłu za chustką stół.

„Byłem w tych przedstawieniach dyrektorem, maszynistą, suflerem, autorem i przerabiaczem, reżyserem, oprócz tego grałem w każdej sztuce kilka ról, jeżeli nie wszystkie. W trupie mojej miałem dwoje aktorów: braciszka Karolka i najmłodszą siostrzyczkę, Manię. Karolek grywał wszystkie podrzędne role, jakoto: lokajów, powierników, towarzyszów, reprezentował wreszcie chór, lud, wieśniaków, zbójców. Mania mogła grywać tylko nieme role, ponieważ bobo to nie umiało jeszcze dobrze mówić.

„Jak przy takim składzie trupy i dekoracyi mogliśmy grać wtedy „Zbójców“, „Hamleta“, „Matkę rodu“, „Jezioro wieszczek“, „Zemstę za mur graniczny“ i wogóle wszystko, co w prawdziwym teatrze było na repertuarze, dziś nie rozumiem, graliśmy jednak...

„Miałem jeszcze jednę siostrę, Antolkę, młodszą ode mnie a starszą od Karolka. Doskonałaby to była siła do mojego teatru, który na punkcie bohaterek mocno szwankował. O ile jednak ja miałem zamiłowania do aktorstwa, o tyle ona wstrętu, i nigdy namówić jej nie mogłem do udziału w naszych przedstawieniach. Chętnie

jednak im się przypatrywała. I to był pożytek, inaczej bowiem gralibyśmy bez publiczności.

„Dzieciom tak niewiele potrzeba... bawiliśmy się więc wybornie. Ja sam jeden tylko rozumiałem wszakże z tego wszystkiego cośkolwiek.

„Pamiętam scenę, która szczególnie się nam wszystkim podobała. Zapomniałem, jakato była sztuka.... mniejsza z tem zresztą.... dosyć, że w ostatniej scenie bohaterka rzuca się ze skały w przepaść Urządziliśmy tę scenę przepysznie. Wierzchołkiem skały był stół, na dnie przepaści zaś leżała poduszka, zasłonięta naturalnie chustką. Stawałem więc na skale (grywanie ról kobiecych było dla mnie koniecznością, przytem nie robiło to im żadnej różnicy), wołałem wielkim głosem: „Och! umieram“, i hyc na dół. W tem miejscu Karolek powinien zapuścić kurtynę. Nie spuszczał jej jednak, sam bowiem wchodził na skałę, wołał: „O! umieram“, i rzucał się w przepaść. Następnie i Mania gramoliła się na stół (musieliśmy ją podsadzać), uśmiechała się, mrużyła oczki i również buch! w przepaść.

„Gdyśmy byli w natchnieniu, efekt ten powtarzaliśmy po kilka, a nawet i kilkanaście razy. A i publiczności podobało się to do tego stopnia, że sama wchodziła na skałę i rzucała się w przepaść.

„Od tego czasu wszystkie sztuki, Szekspira czy nie Szekspira, Korzeniowskiego czy nie Korzeniowskiego, kończyły się niezmiennie temi okropnemi samobójstwami.

„W późniejszym czasie przybyła mi dzielna pomoc w osobie, również jak ja, zamiłowanej w teatrze, małej dziewczynki, Stasi. Chuda, czarna, jak Cyganka, dosyć rozwinięta, była córką niezbyt zamożnej wdowy, mieszkającej prawie na samym końcu miasta. Poznaliśmy się w teatrze, gdzie Stasia często bywała, podobnie jak i ja, bez opieki starszej osoby. Odtąd więc byłem jej opiekunem, co się przydało na cośkolwiek. Jej matka bowiem mniej się o nią obawiała i częściej pozwalała bywać w teatrze.

„Niejednokrotnie przychodziliśmy sobie wzajemnie z pomocą, a nawet ułożył się już taki dzienny porządek, że Stasia prosiła mojej matki o złotówkę dla mnie na bilet, ja zaś prosiłem jej matki o złotówkę dla niej. Byłto bardzo skuteczny sposób. Gdy fundusze i pozwolenia były z obu stron otrzymane, po szóstej szedłem do Stasi, umyty i uczesany. Stasia, również umyta i uczesana, oczekiwała mnie w oknie Dostawaliśmy podwieczorek i następnie, weseli, urado wani, szczęśliwi, w podskokach wędrowaliśmy do teatru.

„Po przedstawieniu odprowadzałem Stasię do domu. Gdy księżyc zasłonięty był chmurami, zupełna ciemność panowała na ulicach. Nie wiem, czy w całem mieście tak dużem, jak nasze Kielce, były trzy latarnie. A pamiętam te latarnie ówczesne; jedna z nich stała u wejścia na ulicę, na której mieszkała Stasia. Byłto słup drewniany, z wygiętym w górę pałąkiem; od pałąka zwieszała się na sznurku latarnia olejna, którą można było podnosić do góry lub opuszczać. Przy latarni tej czułem się zawsze odważnym bardzo. Gdyśmy się jednak od niej oddalali, odwaga moja znacznie słabła, choć upewniałem Stasię, że się „nic a nic nie boję“. Nadrabiałem miną, lubo nieraz serce mi zamierało, a łydki, jak w febrze, drżały, zwłaszcza po jakiej strasznej sztuce, która kończyła się trupami. Pamiętam mój strach po „Romeo“... zdawało mi się, że każdą bramą są groby familijne Kapuletów.

„Stasia bardzo często przychodziła do nas, i wtedy naturalnie urządzaliśmy przedstawienia, daleko dokładniejsze, niż poprzednio. Latem popisywaliśmy się nawet przed liczniejszem gronem publiczności. Urządziliśmy teatr w komórce, której drzwi służyły nam za kortynę. Popisy nasze podziwiały dzieciaki z całej ulicy, siedząc przed komórką na piasku.

„Bawiliśmy się nieraz przepysznie. Często wszakże w małem naszem kółku przytrafiały się poważne nieporozumienia, i pod tym jednym względem byliśmy podobni do prawdziwych aktorów. Mała Mania naprzykład grała jedynie tylko dla pierników. Bez piernika ani rusz. Otrzymywała je więc i przed przedstawieniem, i w każdym antrakcie. Mimo to, jak przyszedł jej kaprys, a była kapryśną i upartą, wołała w ciągu przedstawienia, psując najpiękniejszą scenę: „Ja ciem pelnika“. Odpowiadałem jej wtedy ze zmarszczonemi brwiami: „Dostaniesz, jak się skończy!“ — „Ja ciem telaz!“ — wołała. Odzywały się i głosy publiczności: „Cicho bądź, Maniu, nie przeszkadzaj“. Nic to nie pomagało. Dawałem jej więc dla dobra sztuki piernik, suflując jednocześnie słowa, jakie powinna powiedzieć. Ale Mania najspokojniej odpowiadała mi: „Ziala, tylko źjem“.

„Widząc, jak łatwo można mnie było wyzyskać, gdy szło o przedstawienie, Karolek naciągał mnie na makagigi i papierosy. Ten przynajmniej był rozsądniejszy i nie zrywał przedstawień. Tak więc zmuszony byłem płacić gaże, pomimo, że nie miałem nigdy ani grosza dochodu z mojego teatru.

„W ponoszeniu tych ciężarów dopomagała

mi nieco Stasia, która przynosiła ze sobą łakocie, aby niemi opłacić Karolka i Manię. Ale i ze Stasią także miałem nieporozumienia, — tylko innego rodzaju. Była ona zwolenniczką muzyki i wodewilu i ciągle chciała śpiewać, ja zaś nie miałem do muzyki ani słuchu, ani zamiłowania i nie chciałem się zgodzić na wsadzenie kupletów do „Hamleta“ lub „Zbójców“. Kłóciliśmy się o to, i gniewy trwały po parę dni. Ustępowałem wkońcu dla miłości sztuki, i Stasia śpiewała improwizowane kuplety. Ale i to jej nie wystarczało zupełnie. Marzyła bowiem o orkiestrze. Wkońcu wynalazła bardzo ładny instrument, blaszaną miednicę, przewróconą do góry dnem, na której jej akompaniowałem do śpiewu, uderzając drewnianą łyżką.

„Byłem już sporym wyrostkiem, miałem chyba ze trzynaście lat, gdym doznał najsilniejszego chyba wrażenia w swojem życiu. Chodziłem wtedy do szkoły powiatowej. Otóż otrzymałem promocyą i w nagrodę wraz z matką pojechałem do Warszawy odwiedzić ciotkę. Tu zobaczyłem po raz pierwszy w życiu teatr prawdziwy z całem bogactwem środków złudzenia.

„Grano balet „Monte-Christo“.

„Pierwszy raz widziałem balet. Przedstawienie to olśniło mnie, oczarowało... Dziś jeszcze

zdaje mi się, że „Monte-Christo“ jest wspaniale piękną rzeczą... Zachwyt mój był niezwykłym. Wydawałem okrzyki podziwu, wstrzymywałem oddech, oczy mi ledwie nie wyskoczyły z głowy. A kiedy na scenie zobaczyłem dzieci, chłopców i dziewczynki, i to mniejszych od siebie, entuzyazm mój nie miał granic.

„Na drugi dzień z biciem serca, niepewnością, ale i nadzieją, pocałowałem matkę uroczyście w rękę i poprosiłem, aby mnie oddała do teatru.

„Naturalnie matka pośmiała się trochę, pogroziła, i na tem się skończyło. Ale mnie nie opuściło już postanowienie zostania aktorem. Z postanowieniem tem rosłem, i gruntowało się ono we mnie coraz silniej.

„Z biegiem czasu zarzuciłem naturalnie moje przedstawienia pomiędzy dwoma krzesłami. Ze Stasią także przyjaźń osłabła, zaczęła się ona uczyć gry na fortepianie i oddawała się coraz więcej muzyce, podczas gdy ja stale byłem wiernym dramatowi. Coraz lepiej rozumiałem sztukę i coraz poważniej się na nią zapatrywałem.

„Wychodziła wtedy biblioteka, ułożona ze sztuk dramatycznych, zdaje mi się, że pod tytułem „*Teatry warszawskie*“, ale dobrze nie pamiętam. Na pierwszej kartce znajdował się zwykle kolo-

rowany rysunek jakiego sławnego aktora lub aktorki. Były tam portrety: Piaseckiego Żochowskiej i Halpertowej. Otóż w miarę możności zachodziłem do antykwaryusza i kupowałem te książeczki. Miałem także parę starych tragedyj Woltera, nowsze dwie komedye Moliera i Fredry, a także tragiedye Słowackiego. Z czasem uzbierało się do trzydziestu dziełek, które przeglądałem z religijną prawie nabożnością.

„Uczyłem się również deklamować. Umiałem całego Mazepę na pamięć od początku do końca. Pomiędzy książkami, które zabierałem do szkoły, była zawsze jedna z mojej biblioteki teatralnej.

„To mi bardzo na złe wyszło.

„Dyrektor raz złapał mnie, gdym na lekcyi zamiast w jeometryą patrzeć, czytałem „Dymitra i Maryą“ Korzeniowskiego. Najprzód książkę skonfiskowano, następnie dostałem dziesięć rózeg. I żeby się na tem skończyło! Ale gdzie tam. Ojciec mój został zawiadomiony, aby czuwał w domu nad złym kierunkiem, jak się wyraził w liście dyrektor, myśli pańskiego syna.

„Na domiar nieszczęścia oświadczyłem wprost ojcu, że mam powołanie do stanu aktorskiego, i poprosiłem go o pozwolenie wstąpienia do teatru, gdy skończę lat dziewiętnaście.

„Skutek mojej prośby był ten, że najprzód

dostałem znowu dziesięć rózeg, następnie zaś ojciec zabronił mi raz na zawsze chodzić do teatru. Zabronił chodzić do teatru! Nic boleśniejszego nie mogło być dla mnie w owym czasie.

— „Wypędzę z ciebie to powołanie“ — mówił często.

„A właśnie droga do szkoły prowadziła obok teatru, i duże, białe, interesujące afisze zdaleka wpadały w oczy. Przyznaję się, żem ojca znienawidził, a nienawiść ta rosła tem zawziętsza, im gwałtowniejsze były między nami starcia.

„Wprawdzie nie przestałem bywać zupełnie w teatrze. Gdy ojciec szedł do kolegów na karty, byłem pewien, że nie wróci przed północą i cały wieczór miałem do rozporządzenia. Poczciwe matczysko już zawczasu szepnęła mi: „Ojca nie będzie dziś w domu“, i nieznacznie wsunęła złotówkę w rękę.

„Ale nieraz od samego rana, gdym przeczytał jaką ponętną nowość na afiszu, owładała mną gwałtowna chęć pójścia dziś właśnie do teatru. Wracając ze szkoły, modliłem się, aby ojciec wieczorem poszedł na karty, — lecz jakoś tak się składało, że właśnie w takie dnie, gdy mi najbardziej na tem zależało, ojciec krokiem nie wychodził z domu.

„Wtedy bez względu na następstwa... bez

względu na wszystko, wymykałem się z mieszkania, pożyczałem, zkąd mogłem, złotówkę, i szedłem do teatru. „Niech się dzieje co chce“, — myślałem — „muszę być dziś w teatrze“. Okropne to były przedstawienia, w czasie których całą przyjemność psuła mi obawa następstw przekroczenia zakazu ojca. Siedziałem, jak na szpilkach, często nie uważałem, co się dzieje na scenie, wesołe ustępy nie wywoływały uśmiechu na moje usta. Po przedstawieniu zwlekałem z powrotem do domu, błądziłem śród ciemnych ulic... wrócić jednak było trzeba... a na powrót mój oczekiwał ojciec... z kijem w ręku...

„Pewnego razu, gdym wracał ze szkoły, wybiegła na moje spotkanie Mania. „Wiesz!“ — rzekła zmartwiona, — „ojciec spalił wszystkie twoje książki teatralne“. Miałem już przecież ośmnaście lat skończonych, a jednak... spłakałem się, jak małe dziecko...

„Całe to prześladowanie nie przydało się ojcu na nic. Przeciwnie, zapał mój do teatru wzmagał się pod naciskiem. Codziennie czytywałem afisze. Koledzy, szczęśliwsi ode mnie, opowiadali treści sztuk, których widzieć nie mogłem. Wszystkie myśli moje, nadzieje i marzenia biegły w kierunku tej dużej drewnianej budy, którą przedzielała tajemnicza kortyna.

„Często zachodziłem na podwórze teatralne, aby przyjrzeć się szopie, gdzie składano dekoracye. Schodki boczne, prowadzące za kulisy, miały dla mnie jakiś urok tajemniczy. Wszystko tu wydawało jakąś woń dziwną, pociągającą, nęcącą.

„Dyrektor teatru był dla mnie najważniejszą na świecie figurą. Spotkawszy na ulicy aktora, szedłem za nim, wytężałem słuch, aby pochwycić jego słowa, gdy mówił. Aktorki wydawały mi się najpiękniejszemi kobietami na świecie, prawie świętemi... choć... no, wiemy dobrze, ile nasze panie mają w sobie świętości...

„To uwielbienie dla wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z teatrem, a z którem musiałem się ukrywać, trwało jeszcze czas jakiś. Byłato najnieszczęśliwsza epoka mojego życia. Skończyła się jednak niezadługo... Mój ojciec, po krótkiej chorobie, — umarł.

„Wtedyto przysiągłem sobie, że, jeżeli mieć będę dzieci, nigdy ich nie uderzę. Źle robił mój ojciec, że mnie bił i postępował surowo. Przy jego śmierci ani jedna łza nie wyciekła z mojego oka, nie poświęciłem jego duszy ani jednej dobrej, wdzięcznej myśli.

„...Ze śmiercią ojca zmieniło się zupełnie położenie naszej rodziny. Matka, pozostawszy

z małą emeryturą, pomimo, że chwyciła się szycia, nie zdołałaby utrzymać rodziny. Prezes izby, w której pracował mój ojciec, wszedł w jej położenie i dał mi posadę, nawet nieźle płatną, jak na moje lata i ówczesne stosunki. Z przyjemnością też opuściłem przedostatnią klasę szkoły.

Byłem więc niejako głową rodziny, ponieważ głównie moja praca pokrywała wydatki na utrzymanie domu i kształcenie rodzeństwa. Wszyscy też mnie inaczej traktowali, niż dawniej. Zwłaszcza poczciwa matka... Dogadzała mnie w najdrobniejszych upodobaniach. Miałem ulubione potrawy na obiad, wzorowy porządek na moim stole, ciszę i spokój, gdym wracał do domu.

Oddawałem jej wszystkie fundusze do rozporządzenia, a choć były bardzo skromne, jednak matka codziennie niemal zapytywała mnie: „Czy masz chęć pójścia dziś do teatru?“ A kiedy wyrażałem obawę, czy starczy jej do nowej pensyi pieniędzy, z uśmiechem odpowiadała mi: „Złotówka nie zrobi różnicy“.

„Tak... uśmiechała się, potem sięgała ręką do sakiewki i przytem mówiła słodkim głosem: „Złotówka nie zrobi różnicy“.

„Gdy powracałem z teatru, choćby najpóźniej, wszyscy już spali w domu, i dzieci, i służąca, tylko matka nie spała. Drzemała na fotelu przed

piecykiem, gdzie grzała się dla mnie kawa. Zaledwiem ruszył za klamkę, matka przebudzała się, mówiła mi z uśmiechem: „Już wracasz“ i nalewała kubeczek doskonałej kawy z kożuszkiem. Dogadzała mi... zdaje się, że już to mówiłem, ale bo... dogadzała mi bardzo. A potem, podczas gdy ja piłem kawę, siadała naprzeciwko mnie i zapytywała:

— „I cóż? jakże się bawiłeś?“ — Gawędziliśmy z pół godziny jeszcze, zanim udaliśmy się na spoczynek.

„A ja — za tyle przywiązania, za tyle względów, zdradę chowałem w sercu.

„Walczyłem z sobą, doprawdy walczyłem, ale powołanie, które ciągnęło mnie do teatru, silniejsze było nad wszystko...

„Właśnie bawiąca w Kielcach trupa za parę dni opuszczała nasze miasto, mając udać się do Pińczowa. Pewnego dnia.... zamiast do biura poszedłem do dyrektora teatru. Przyjął mnie chętnie. Z trupą miałem połączyć się w Pińczowie. Oczekiwałem więc gorączkowo ich wyjazdu. Wyjechali nareszcie. Widziałem trzy ich duże, płóciennemi dachami nakryte, wozy, przeciągające przez miasto

„Tego wieczoru matka rzekła mi, otwierając kuchenną szafkę: „Patrz, jaki serek kupiłam

i wcale tanio. Będziesz miał jutro pierogi ze śmietaną". Lubiłem bardzo pierogi ze śmietaną.

„Na dobranoc, jak zwykle, ucałowałem matce ręce. Położyłem się spać jednocześnie ze wszystkimi, ale nie spałem. Czekałem, póki wszyscy nie zasną. Wtedy wstałem, z największą ostrożnością wybrałem z szafy moję garderobę i bieliznę, związałem to w pośpiechu bezładnie w węzełek i wyszedłem. Drzwi za sobą nie zamknąłem, aby nie rozbudzić kogo...

„Gdym znalazł się na ulicy ciemnej i pustej, ścisnęło mi się serce. „Co oni biedni zrobią beze mnie", — pomyślałem — „co oni zrobią?" A potem stanęła mi w myśli matka, jak uśmiechała się, sięgając do kieszeni: „Złotówka nie zrobi różnicy". Ale gorączka teatru owładnęła mną silnie i popychała naprzód.

„Wyszedłem na szosę. Szosą szedłem bez odpoczynku całą noc. Skronie mi pałały. Przykładałem do nich dłonie, zmoczone rosą, zebraną z trawy. Wreszcie, znużony gorączką i podróżą, o brzasku dnia ujrzałem w dali dachy domów i wieżę kościoła. Byłto Pińczów"...

. . . .

. . . .

Stary aktor umilkł. W tej chwili gaszono światła w restauracyi, i garson natrętnie stał przy naszym stoliku, jak gdyby dopominając się o załatwienie rachunku.

Wyszliśmy. Posuwaliśmy się wolnym krokiem w milczeniu po ciemnej ulicy. Nie zadawałem pytań idącemu obok mnie ze spuszczoną głową Wiórkiewiczowi, nie chcąc rozbudzać go z zadumy, może przyjemniejszej, niż rzeczywistość. Wreszcie sam się odezwał:

— „Panna mężatka"... Poszedłem dziś zobaczyć to: byłto mój debiut. Tak, panie, grałem — lokaja. Lokaja tylko, a jednak... tak mi serce biło, jak nigdy już nie uderzy. Ale to był czas, gdy człowiek wierzył, gdy miał nadzieje i złudzenia... tylko złudzenia"...

Zatrzymałem się na skręcie ulicy. Wiórkiewicz wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie.

— Wiem, czem jestem dziś. A jednak... tak kochałem teatr... tak kochałem... No, i czemu tu wierzyć na świecie?

ZE WSPOMNIEŃ
AUTORA DRAMATYCZNEGO

O sztuko dramatyczna... na prowincyi!

Ileż piskląt literackich, pełnych nadziei, westchnęło z goryczą w ten sposób. Z goryczą!... tak, z goryczą. Jeżeli chcecie wiedzieć ilu różami ubrane jest pierwsze przedstawienie pierwszej sztuki młodego autora, to marzenie roskoszne, tylu nadziejami pieszczone przez lata, to — kupcie czemprędzej bilet do pociągu, którym właśnie dąży młody autor „na próby“.

Jakimże różowym myślom pozwalasz się kołysać! o młody autorze! nie schodzą ci zprzed oczu ducha krzesła pełne widzów, oczekujących z zaciekawieniem wzniesienia się kortyny, czujesz prawie gorąco gazu i oddechów i... o mało, że nie słyszysz oklasków i wołań: autor! autor!

Zatopiony w marzeniach, które były zawsze marzeniami całego twojego życia, a do spełnienia których już tak blisko... tak blisko... nie

spostrzegasz jegomości, który przypatruje ci się z natrętną ciekawością; wreszcie ciekawy jegomość, nie mogąc doczekać się aż raczysz zwrócić nań uwagę, odzywa się:

— Przepraszam... wszak p. Kukułkiewicz.

Wyrywa cię to z zadumy. Podnosisz głowę i poznajesz kolegę szkolnego. Co za szczęśliwy przypadek! Witacie się serdecznie. Nie widzieliście się lat kilka już... „Cóż u ciebie słychać?“.. „A u ciebie?“ Kolega gospodaruje na wsi... Znać to po jego cerze zdrowej i rumianej.

— Gdzież więc jedziesz? — pyta wreszcie kolega.

Usiłujesz zachować skromną minę.

— Do K. na pierwsze przedstawienie mojej sztuki.

I doznajesz pierwszej satysfakcyi autorskiej, widząc kolegę w niemem podziwieniu nad tym ważnym faktem: „pierwsze przedstawienie“. Nie bawisz się w zbytnie o tem rozmowy, przypuszczając, że kolega z zaśniedziałą na wsi inteligencyą nie wielkie ma pojęcie o sztuce. Ponieważ mieszka niedaleko K., obiecuje przyjechać na przedstawienie. Na przedostatniej stacyi dajecie sobie buzi, poobywatelsku, z dubeltówki, — i kolega wysiada, raz jeszcze upewniając:

— O! przyjadę! przyjadę z pewnością.

Dojeżdżasz dalej sam, niecierpliwiąc się trochę i narzekając nieco na mędrca, który wynalazł wiorsty... tak długie.

K. już niedaleko. Nie znasz tego miasta, które tak ważną zapisze datę w historyi twojego życia, a może i... w historyi literatury. Któż to może wiedzieć; wszak sam Szekspir nie był sławnym .. od urodzenia. A więc sztukę twoję grać będą w gubernialnem mieście K. Dobre i to na początek karyery! Ponieważ napisałeś sztukę poważną... o! nieznmiernie poważną, z tendencyą społeczną, żaden „ogródek“ w Warszawie nie podjął się jej wystawienia. Dyrektorzy odpowiadali ci: „tak... dałoby się to wystawić może, ale na prowincyi“. Żaden jednak nie okazywał zbyt wielkiego zapału, ażeby wystawić twoję sztukę, chociażby... na prowincyi. Och! nawet można powiedzieć, że tę ważną dla ciebie sprawę, traktowali... z zupełną obojętnością. W tym czasie poznałeś kilku aktorów i jeden z nich, komik, któremu wyświadczyłeś parę przysług, obiecał, iż wystawi twoję sztukę na swój benefis.

No, i oto dzień ten przybliża się... dojeżdżasz właśnie do stacyi K. z błogą myślą, że w tej chwili zapewnie aktorzy, pochłonięci rolami z twojej sztuki, męczą pamięć i studyują ruchy przed lustrami

Nareszcie... pociąg zwalnia... słychać stukania po zwrotnicach; wlecze się wreszcie jeszcze chwil kilka i wkońcu staje nieruchomy — u celu twojej podróży.

Wsiadasz w pierwsze z brzegu sanki i... rzniesz do miasta. Ciepło ci... Pomimo mrozu, paltot masz niezapięty.

I kiedy już tak blisko jesteś tego budynku sztuki, w którym panować będziesz przez cały wieczór, napadają na ciebie złe duchy zwątpienia. A może nie wystawią twojej sztuki? Otrzymałeś wprawdzie list z uwiadomieniem od komika. Ale... może się stało co nadzwyczajnego... może komik się rozmyślił... może dyrektor się nie zgodził... może trupa cała się rozwiązała... może... piorun spalił teatr, może... trzęsienie ziemi pochłonęło całą ulicę. Może... może... może... Dźwięczy ci to *może,* jak najbardziej uprzykrzona mucha.

Okolica, rozłożona z obu stron drogi, którą przebiegają unoszące cię sanki, nie ma zaszczytu zwrócenia na siebie twojej uwagi; wjeżdżasz do miasta nieznanego ci zupełnie z ciekawością nie większą, z jaką zwykłeś patrzeć na szyldy sklepowe, przechodząc przez ulicę, na której mieszkasz od lat dziesięciu...

Oto i teatr. Skończy się twoja niepewność.

Rzucasz okiem na dzisiejszy afisz, który zapowiada „Betinę“ i biegniesz za kulisy. Błąkasz się, wracasz, zapytujesz, wreszcie wchodzisz pomiędzy zakurzone rusztowania z belek i odrapane płótna. Szczęściem, aktorzy są na scenie, gdyż odbywa się próba z „Betiny“.

Witasz się gorączkowo z komikiem i targany niepewnością, zadajesz jednak wielce dyplomatyczne pytanie:

— I cóż? kiedyż będziecie grać „Zbawienne środki?“

— Pojutrze — odpowiada komik.

Oddychasz... oddychasz potężnie, całą piersią. A więc już pojutrze. Noc, dzień, noc, dzień i już... Uzyskawszy tę upragnioną pewność, stajesz z boku, za kulisą, ażeby nie przeszkadzać kończącej się próbie.

Gdy się skończyła, zapraszasz kilku poważniejszych aktorów do restauracyi, zacierając w duchu ręce, że nareszcie nagadasz się do woli o sztuce w ogólności, a o „Zbawiennych środkach“ w szczególności (młodzi autorzy potrzebują tego „gadania“ jak ryby wody i rośliny wiosny).

Gdy stajecie przed bufetem, oznajmiasz im na początek, iż „wartoby co przetrącić“. *Genre artistique* pije tylko koniak. Przetrącanie. Następnie okazuje się potrzeba, aby to przetrącone przeką-

sić. *Genre artistique* proteguje bułeczki z kawiorem. Przekąsanie i przytem jeden z aktorów opowiada ci bardzo dowcipny „kawał“. Uśmiechasz się, ale pilno ci do „Zbawiennych środków“. Tymczasem, gdy jeden kawał się skończył, zaczyna się drugi, potem trzeci i czwarty. Usiłujesz wtrącić zapytanie, jak stoi twoja sztuka, komu jakie rozdano role, ile prób już się odbyło... ani sposób! Kawał łączy się z kawałem, jak jedno ogniwo zachodzi na drugie w łańcuchu, którego nie dostrzegasz końca. Dowcipne te anegdotki nie bawią cię; tem mniej nawet, gdy dostrzegłeś, że aktorzy znają je wszyscy i powtarzają tylko dla twojej uciechy; ta uprzejmość bynajmniej cię nie zachwyca. Ty chciałbyś mówić o sztuce! o teatrze! o charakterach! sytuacyach i sceniczności!

Zbyt jednak silnie ucieszony tem, co nastąpić ma „pojutrze“, uśmiechasz się uprzejmie, powtarzając:

— Ależto doskonały kawał.

Nareszcie udało ci się przerwać ten łańcuch kawałów i przystąpić do rzeczy. O biedny autorze dramatyczny! Dowiadujesz się, że... role „zapewne“ będą dziś wieczorem przepisane, jutro zaś zrobi się pierwsza, tak zwana sytuacyjna, próba. Jutro! a pojutrze ma być pierwsze przed-

stawienie! O biedny auto... No, — odwagi, odwagi!

Ośmielasz się wyrazić tysiączną cząsteczkę obaw, które osiadły ci na duszy; aktor charakterystyczny pociesza cię:

— *My tu*, proszę pana, *wszystko* gramy o dwóch próbach; pierwsza sytuacyjna, a druga — jeneralna.

Ale komik, natura artystyczna i indywiduum inteligientne, upewnia cię, że „zrobi się“ wszystko, co będzie można, ażeby przedstawienie poszło dobrze. Jemu samemu przecież o to chodzi, ponieważ to jego benefis. Jutro spektaklu nie będzie (na prowincyi grają cztery razy na tydzień), aktorzy będą się wieczorem uczyć ról... Cóż robić wobec tak smutnych stosunków, w jakich musi żyć sztuka dramatyczna na prowincyi. Publiczności w mieście garstka niewielka, która nie pójdzie dwa razy na jednę rzecz... Trzeba więc wystawiać cztery nowe, lub przynajmniej wznowione sztuki na tydzień. Czyż wobec tego może być mowa już nie o wystudyowaniu ról, lecz choćby o nauczeniu się ich pamięciowo?

Przyznajesz racyą słowom komika, ale zdaje ci się, że dla „Zbawiennych środków“ zarówno aktorzy, jak i stosunki prowincyonalne powinny zrobić wyjątek.

Płacisz wkońcu rachunek i wychodzisz z restauracyi z przykrą myślą, że na dwa dni przed przedstawieniem, ty, autor, nic jeszcze nie masz do roboty.

Wieczorem kupujesz bilet do teatru i idziesz podziwiać „Bettinę“ czyli „Mascotę“, czyli „Dziewczę szczęścia“.

Siadasz sobie w ostatnim rzędzie krzeseł i rozglądasz się po teatrze. Znajdujesz go dosyć obszernym i sympatycznym. Publiczność schodzi się powoli... Obok ciebie siada stara jejmość z młodym, dziewięcioletnim marynarzem. Z rozmowy, którą prowadzą, przekonywasz się, że są to osoby z teatru; to matka i synek bohaterki dramatycznej.

Zaczyna się wreszcie uwertura, a ty rozglądasz się po krzesłach, gdzieniegdzie tylko zajętych przez widzów. Czyżby i pojutrze tak mało zebrało się publiczności? Uczuwasz coś w rodzaju dreszczu moralnego na myśl, że „Zbawienne środki“ mogą być odegrane przed pustemi ławkami. Ale nie... nie... wszakto benefis ulubionego komika, a przytem... sztuka oryginalna, młodego pisarza. Jesteś w wieku, gdy życie śni się snem złotym, na kwiatach i sądzisz, że na twoję sztukę przybędzie wielu ludzi dobrej woli poto tylko, ażeby poprzeć młody talent.

Tymczasem podziwiasz wieśniaczki francuskie

(o szyku francuzek!) w eleganckich bócikach, jakichby się i damy nie powstydziły, potem dowiadujesz się, że „wie-szcze sny przepowie-dnie zapewne to nie bre-dnie“, a dalej urocza primadonna, panna Lilkowska, opowiada ci, jak to owieczki za górami beczą: bee ee e!...

Kortyna zapada. Antrakt. Obok ciebie toczy się rozmowa pomiędzy małym marynarzem, Lolem, i jego babką.

Lolo. Babciuuu! co to jest *maskota?*

Babcia. Nie wiem, moje dziecko.

Lolo. Ee! babcia wi, tylko nie chce powiedzieć.

Babcia. Doprawdy nie wiem!

Lolo. Ee! wi babcia.

Babcia. Ach! nie nudź mnie! Bądź grzecznym.

Lolo (po chwili milczenia, jakby do siebie). Mówią, że panna Lilkowska jest maskotą, ale... niech się babcia z tego śmieje.

Jakąż atmosferę stwarza ten teatr... wzruszasz ramionami i wychodzisz, aby przejść się po foyer.

Po drugim akcie wchodzi do krzeseł posługacz z pękiem afiszów, które rozdaje bezpłatnie publiczności; wyciągasz rękę i rzucasz okiem na afisz...

O błogi zwyczaju prowincyonalny! To afisz twojej sztuki. Przed oczami skaczą ci duże, czarne litery:

„Zbawienne środki“

a dalej „komedya w 5-ciu aktach, oryginalnie napisana przez Barnabę Kukułkiewicza“. O! pierwsze upojenie widokiem nazwiska, wydrukowanego na pięciuset afiszach – jakże jesteś słodkiem! Czytasz afisz całuteńki, od góry do dołu, datę, tytuł, osoby, ceny miejsc, drukiem... czytasz raz, dwa, pięć, dziesięć — jakbyś się uczył łacińskich słówek na pamięć.

Robisz wreszcie melancholijną uwagę:

„Boże drogi! afisze już się rozdają, a role — jeszcze nieprzepisane“.

Wychodzisz z teatru przed końcem przedstawienia, składając starannie afisz, ażeby go zachować na pamiątkę. Przy wyjściu z krzeseł spostrzegasz biały arkusz papieru, a na nim: „Zbawienne środki“. Przy teatrze szafki z afiszami: „Zbawienne środki“. Wstępujesz do restauracyi na kolacyą — na ścianie opiewa afisz: „Zbawienne środki“.

O rozkoszny zawodzie autora dramatycznego!

Usypiasz wreszcie w numerze hotelowym z błogiemi marzeniami: „Ileż wrażeń mnie czeka, ileż wrażeń!?“

Ale nazajutrz po przebudzeniu, odkładasz marzenia na bok i dajesz do siebie przystęp myślom poważnym. Pierwsze przedstawienie powinno być krokiem naprzód w twoim rozwoju artystycznym. Zobaczysz, jak na scenie wygląda to, co dotąd istniało w twojej wyobraźni tylko... Będzie to pierwsze zetknięcie się artysty z przedmiotem, pierwsza bryła marmurowa rzeźbiarza, który dotąd lepił glinę. Trzeba skupić uwagę i zdolności ażeby wyciągnąć ztąd dla siebie jaknajwięcej korzyści. Przewidujesz bowiem, że „Zbawienne środki“ mają pewne wady, wynikające właśnie z braku zetknięcia się z deskami sceny.

Wstępujesz do cukierni na szklankę herbaty i znowu spostrzegasz afisz ze „Zbawiennemi środkami“. Bierzesz do ręki miejscową gazetę i wpada ci w oczy wiadomość z zapowiedzią twojej sztuki, kończąca się słowami: „Próbami kierować będzie autor“.

O jedenastej autor wychodzi z cukierni i idzie do teatru „kierować próbami;“ wszystkie rogi ulic zalepione są „Zbawiennemi środkami“...

Wchodzisz więc do przybytku sztuki. Sala jest pustą i przyćmioną. Kortyna podniesiona do połowy; poza nią scena pogrążona w ciemności jeszcze większej. Ledwie widać dekoracyą w głębi, przedstawiającą wolną okolicę i boczne kulisy,

które są częścią salonu. Niema nikogo. Siadasz w krzesłach i — czekasz. Przybywa wreszcie indywiduum jakieś, niskie, z grubemi wąsami i czerwonym nosem, w paltocie wyszarzanym i zabłoconym. To sufler. Pod pachą trzyma „egzemplarz“ jakiś. Poznajesz ten egzemplarz; to zeszyt z twoją sztuką, zeszyt tak starannie przepisany własną twoją ręką.

Sufler znika za sceną. Po chwili zaczynają się schodzić powoli, pojedyńczo, kapłani i kapłanki sztuki dramatycznej. Aktorzy apatyczni, z śladami bezsenności na wygolonych twarzach. Siadają w krzesłach, nasuwają cylindry na czoła, spuszczają głowy i — drzemią. Ci, co nie drzemią, utworzyli wokoło dwóch aktorek grupę w przejściu krzeseł i prowadzą rozmowę dosyć ożywioną.

Ty sądzisz, naiwny autorze, że to są dysputy o sztuce, z której za chwilę ma się odbyć próba; wytężasz słuch i dowiadujesz się, że... trupa na lato bawić będzie w Belle-Vue, z czego panie są zadowolone i że właśnie dyrektor pojechał do Warszawy, ażeby zawrzeć kontrakt.

Smutek jakiś nerwowy rozpościera nad twoją duszą czarne skrzydła. Z jakąż obojętnością traktują ci ludzie sztukę! Zeszli się wreszcie wszyscy i komik przedstawia cię reżyserowi.

— Pan Kukułkiewicz, autor.

Widzisz przed sobą wysokiego, chudego człowieka z małą główką, z twarzą obojętną, ze wzrokiem zimnym, rybim. Wyrażasz przed nim obawę, czy z powodu tak krótkiego czasu sztuka „pójdzie dobrze“. Reżyser kiwa obojętnie małą główką:

— Pójdzie... dlaczego nie ma pójść?

Zostajesz w dalszym ciągu przedstawionym aktorom z twarzami blademi, z cerą przedwcześnie zestarzałą i zniszczoną używaniem mastyksów i aktorkom, ubranym krzycząco, z wymalowanemi twarzami.

Sufler stawia sobie mały stoliczek na boku, na przodzie sceny. Obok staje krzesło dla reżysera; trzecie podają dla autora. Reżyser bierze w rękę egzemplarz i odzywa się głosem monotonnym, bezbarwnym:

— Zaczynajmy.

Panowie wydobywają role z bocznych kieszeni paltotów, panie — z mufek.

— Pan wchodzisz środkiem, pani siedzi przy stole.

I gdy pan wszedł środkiem, rozpoczęło się czytanie niewyraźne, bez akcentu, bez przecinków i punktów, przeplatane narzekaniami na niewyraźne pismo przepisywacza; ledwie poznajesz, biedny autorze, swoje zdania i okresy, nad któ-

remi pracowałeś tak mozolnie, które wydały ci się tak gładkiemi i ładnemi.

Reżyser słucha obojętnie. Ci, co nie biorą chwilowo udziału w próbie, zebrali się z boku i rozmawiają wesoło i głośno... chwilami za głośno nawet. Rozdrażnienie twoje, biedna ofiaro sztuki, zwiększa się. Włożyłeś ręce do kieszeni paltota i zaparłeś się w milczeniu.

Przeszło kilka scen, akt cały wreszcie i ty ciągle pozostajesz chłodnym i nieruchomym. Zaczyna się akt drugi. Reunion na boku rozbija się, ponieważ następuje scena zbiorowa. Nareszcie twoje nerwy artystyczne zaczynają drgać. W tej scenie zbiorowej okazuje się w całej pełni... młody autor. Osoba, która mówi słów parę na przodzie sceny, za chwilę znaleść się musi w głębi. Dama siedząca na kanapie na prawo, znaleść się musi przy oknie na lewo, a potem znowu na dawnem miejscu. Gdyby aktorzy wykonywać to wszystko mieli, z salonu zrobiłaby się rajtszula; jedni przez drugich musieliby przeskakiwać.

W dodatku jedna z osób, którą wprowadziłeś, ażeby przemówiła słów parę i pozostawiłeś ją następnie bez słów i informacyi odzywa się:

— A co ja będę przez ten czas robić?

Tracisz głowę; reżyser wyprowadza cię jednak z tego pięknego chaosu.

— To, co mówi Adolf, powie hrabia, a słowa baronowej, powie książe.

I wszystko w porządku. Aktorzy robią notatki ołówkami w rolach i próba idzie dalej. Ponieważ zbiorowa scena już nie powtarza się, wszystko idzie gładko, z wyjątkiem czytania, które wlecze się chropawo, zwłaszcza kobietom.

W dalszym ciągu okazuje się, że zamało czasu dałeś bohaterce do przebrania się z amazonki...

Zresztą próba ciągnie się leniwie i obojętnie jak furgon żydowski. Ty sam, ty! autor! nudzić się zaczynasz, słuchając tego czytania. I gdy skończyło się, wychodzisz z niezadowoleniem w duszy, w rozdrażnieniu nerwowem, jakiego doznajesz po raz pierwszy w życiu. Przepędzasz samotnie dzień bardzo przykry w obcem mieście, a wieczorem, w ów wieczór, wolny od „spektaklu“, który aktorzy poświęcić mieli uczeniu się ról, spotykasz ich w restauracyi teatralnej pijących piwo, opowiadających „kawały“, lub grających w bilard.

Nazajutrz rano podążasz znowu na próbę.

Sufler siada tym razem w „budzie“ i aktorzy powtarzają za nim słowo za słowem. Przygotowany już jesteś, że sztuka graną będzie haniebnie. Twoja sztuka, rzecz poważna z tendencyą społeczną, obsadzona została siłami, które podziwiałeś w „Betinie“. Dalej przekonywasz się, że oprócz

reżysera i komika, ani jedna z osób grających nie ma pojęcia o treści sztuki, a połowa gada jak papugi, nie rozumiejąc ról i charakterów.

Wychodzisz z tej ostatniej już próby zniechęcony ostatecznie, zachowując w jednym kąciku duszy szacunek dla komika, w którym cenisz prawdziwego artystę...

Po południu spotykasz się z komikiem w cukierni...

Kręci on się po mieście z benefisem; z biletami w bocznej kieszeni paltotu pokazuje się we wszystkich miejscach publicznych, w restauracyach, cukierniach, klubie i sali sądowej.

Siada na chwilę przy twoim stoliku i rozmawiacie czas jakiś o sztuce.

Komik wyznaje swoje bałwochwalcze uwielbienie dla Sardou i radzi ci studyować go...

— „Zbawienne środki“ są pisane z talentem, — mówi ci — ale brak im sceniczności...

Pociesza cię następnie, że to rzecz nabyta, że to stanowi niejako tajemnicę rzemiosła, którą zdobywa się czasem i wprawą. Pierwszy to człowiek, który powiedział ci coś o sztuce. Wywdzięczasz mu się komplementem w postaci zadziwienia, iż artysta tak zdolny i inteligientny marnuje się na prowincyi.

— Powinieneś pan starać się, aby się dostać do teatru Rozmaitości.

— Proszę pana, — odpowiada z ironią — do teatru Rozmaitości aktor wtedy dopiero zostanie przyjęty, gdy na prowincyi już na nic się nie przyda.

Spotykasz się z nim raz jeszcze na mieście.

— Cóż? jakże idzie benefis?

— O! kiepsko! zupełnie kiepsko.

Sprawia ci to nową przykrość i zniechęca jeszcze bardziej. Wreszcie, gdy zachodzisz przed siódmą do garderoby, zastajesz komika bardziej jeszcze rozdrażnionego aniżeli ty sam... Nie mówi nic do ciebie i tobie się zdaje, że ma żal do „Zbawiennych środków“, iż mu nie zrobiły dobrego benefisu.

Schodzisz na scenę i słyszysz za kulisą urywek z rozmowy.

— Ja odrazu wiedziałem, że benefis się nie uda... coto za firma: *Ku-kuł-kic-wicz.*

— Ja mu to samo mówiłem. Gdyby dał „Podróż po Warszawie“ miałby pięćdziesiąt rubli więcej. A tak!...

Oddalasz się zgryziony.

Dlaczego nie napisałeś „Podróży po Warszawie?“ o autorze dramatyczny!

Straciłeś więc jedyną istotę, do której prze-

mówić mogłeś szczerze. Spoglądasz na salę przez dziurę w kortynie. Loże puste, na galeryi i w krzesłach trochę osób. Poznajesz w trzecim rzędzie kolegę swego. Siedzi w towarzystwie kilku młodych i ogorzałych jak on szlagonów. Jesteś już tak upadłym na duchu, że nie uczuwasz dla niego wdzięczności za ten dowód koleżeństwa.

Słyszysz pierwszy dzwonek...

I o dziwo! W tej ważnej chwili, gdy już tylko dziesięć minut oddziela cię od marzenia, które staje się faktem, — przychodzi ci bolesna chęć ucieczki z teatru na dworzec kolei, odjechania do domu w chwili, gdy kortyna pójdzie w górę. Jestto jakby rozszarpywanie ran własnych.

I stoisz przez chwilę, oparty o kulisę, rozczarowany i rozgoryczony, wyobrażając sobie marzenia swoje rozwiane, jak bańki mydlane, w których przez chwilę mieniły się tęczowe barwy światła.

Ale nie... nie... zostaniesz. Pokusa jest zbyt silną. Idziesz do krzeseł, w połowie pustych. Kolega wita cię z rozpromienioną twarzą; czujesz na sobie spojrzenia jego towarzyszów. Siadasz w głębi, smutny i samotny, nie myśląc już o tryumfach. W sali panuje dziwny chłód, który ci sprawia dreszcze. Nie czujesz sympatyi do tych ludzi, którzy przyszli wysłuchać twojej sztuki;

mają miny wpół obojętne, wpół idyotyczne. Zdaje ci się, że jedni nie zrozumieją tendencyi, inni ją wyśmieją.

Przez chwilę doznajesz *tremy*. Gdy rozlega się trzeci dzwonek, mężczyzni, którzy dotąd stali, siadają i płótno kortyny zaczyna unosić się... Uczuwasz ciepło w oczach i wszystko widzisz zmieszane i jakby za mgłą... Ale trwa to chwilę małą.

Odzyskujesz spokój dawny, ba! dawną obojętność.

Sztuka twoja się zaczęła.

I oto widzisz salon u baronowej z brudnemi i podartemi meblami. Sama pani baronowa ma suknię do kostek i czerwone pióra na głowie. Bohater, którego wyobrażałeś sobie mężczyzną poważnym z długą czarną brodą, wchodzi w garniturze jasnym marynarkowym; przylepił sobie małą rudą bródkę. Księżna popełnia ciągłe błędy gramatyczne, a „rezoner“ powyrzucał z roli wszystkie dłuższe „kwestye“, które stanowiły rdzeń „Zbawiennych środków . Pierwszy komik gra sucho, bez humoru, nie mogąc otrząsnąć się ze straty materyalnej, drugi komik robi z roli płaską błaznadę.

Wszystko to obraca się sztywno, niezgrabnie. Jedni wchodzą zawcześnie, inni spóźniają się z wej-

ściem. A przytem te ciągłe jąkania się, przeciągania ostatnich sylab, pauzy, w których słychać mruczenie, ba! krzyczenie suflera — istna na Golgotę droga.

Ci „artyści“ grają z zapałem nie większym, niż chłopi młócą snopki owsa na klepisku

Pierwszy akt przechodzi bez żadnego wrażenia; następuje antrakt, który mógłby ujść za dalszy ciąg sztuki.

Wychodzisz na *foyer*. Tu łapie cię kolega i przedstawia towarzyszom, dodając z naciskiem: „autor“... Ciągną cię do bufetu i zmuszają do jedzenia i picia.

Akt drugi mija również zupełnie sucho.

W antrakcie znowu szlagoni fundują ci z natrętną uprzejmością.

W akcie trzecim masz wreszcie parę chwil dobrych... Komik rozruszał się trochę i odegrał jednę scenę bez zarzutu. Do uszu doleciały cię śmiechy, parę razy się powtarzające. Zdaje ci się, że to najlepsza scena w sztuce. Słuchasz jej z ożywieniem i łapiesz się na tem, że sam śmiejesz się z własnych dowcipów Przy końcu aktu druga dobra chwila. Sytuacya końcowa, efektowna i nieco dramatyczna wyszła dosyć gładko i zrobiła wrażenie. Czuć je po ciszy i zapartych oddechach, podczas gdy zapada kortyna.

Nieco nadziei wstępuje w ciebie... Może ostatnie akty porwą tych widzów o nerwach z lodu. Wymykasz się szlagonom, którzy ciągle ci chcą fundować i spacerujesz po *foyer*. Kręcisz się tu i tam, chcąc podsłuchać rozmawiających w nadziei, iż pochwycisz jakie zdanie o sztuce.

Przystajesz niby nienaumyślnie blisko jednej grupy:

— A więc pan mi odradzasz.

— To byłby kiepski interes; domy teraz spadają na szyję.

Oddalasz się i zbliżasz do drugiej grupy.

— I cóż? poszedł.

— Poszedł, ale farbował całą drogę; nie chciało mi się iść za nim, ale wiem, że go na drugi dzień znaleźli chłopi.

— No, no, to był doprawdy niezwykły strzał... Podchodzisz blisko trzeciej grupy. Dolatuje cię nazwisko aktorki. Och! ci z pewnością mówią o teatrze.

— A więc byliście z nią na kolacyi?

— Do piątej rano! Czy uwierzysz, że Władek upił się jak bela! Podawała mu ciągle pełne kieliszki, które pił przez galanteryą. Odwieźliśmy go dorożką do domu.

Gdy wracasz do sali, obstępują cię szlagoni:

— Panie! przygotuj się pan na to, że po piątym akcie będziemy wywoływać autora.

— Ależ panowie, proszę was...

— Nie ma, ale!

— Kajne gadanie.

— Będziemy! będziemy!

— Bezwarunkowo! A to dobre! Będziemy!

W czwartym akcie spotyka cię inna niespodzianka. Wchodzi nowa osoba, dama w wieku lat 60, co zaznaczyłeś w informacyi. Ale, niestety! kapłanka sztuki dramatycznej nie chce być starą. Jest sobie piękną, młodą i zgrabną. I zdumieni widzowie słuchają, jak szczebiocze z wdziękiem: „zawierz doświadczeniu moich lat starych, zdaj się na to, co wymyśli ta głowa, siwym włosem okryta, moje dziecko“.

Następuje potem „wielka scena“, „punkt kulminacyjny sztuki“. Bohaterka przykłada co chwilę chusteczkę do ust, to znów naprzemiany mnie ją, biedna, całą siłą drobnej rączki. Bohater niemniej jest poruszony; wyciąga chusteczkę z wierzchniej kieszeni żakieta, pociera z rozpaczą czoło i chowa chustkę. Po chwili znowu taż sama gra. I grają tak tę scenę... we czworo.

Tyle ci to wszystko sprawia przyjemności, że oddychasz na myśl: „ach! otóż i akt ostatni, najkrótszy“. Idziesz za kulisy i przechadzasz się zde-

nerwowany i smutny. Wpada ci w ucho zachwyt jednej z pań:

— Ach! jakaż to była toaleta... kwiaty przechodziły w kształcie girlandy tu, tak przez pierś...

Garderoba męska pełna dymu z papierosów. Przechodzisz ją milcząc. Nikt na ciebie nie zwraca uwagi.

— Ileż ci dał?

— Pięćdziesiąt kopiejek.

— Ależ to skandal doprawdy.

— Ja też, *sowo honou*, na drugi raz zrobię awanturę.

— Kto wziął mój ręcznik, do dyabła?

— Panie! nie zapomnij pan odesłać mi moich kamaszy.

— Odeszlę, *sowo honou*, jak tylko skończę grać...

Piątego aktu słuchasz za sceną, w kulisie. Ale te jąkania się i pauzy rażą cię tu jeszcze bardziej. Uciekasz w głąb i przechadzasz się poza dekoracyą tylną, oczekując końca. Dolatują cię tu słowa przytłumione. Rozwiązanie się zbliża. W tej chwili podchodzi do ciebie „rezoner“ ze zmartwieniem na pomalowanej twarzy.

— Czy pan przypadkiem nie znalazłeś breloka?

— Nie.

— Patrz pan, co za nieszczęście: zgubiłem brelok od zegarka.

Oddala się, a ty słyszysz ostatnie już słowa sztuki. Następuje wystrzał (pierwsze sztuki zawsze mają wystrzał)... Przedstawienie skończone!

Jakże daleko mu do tego, które ty wymarzyłeś w młodej głowie, o autorze dramatyczny!

Słyszysz kilkanaście oklasków silnych i głośnych, parę okrzyków: autor, autor! Po chwili cichnie hałas i gwar... Wszystko skończone.

Wychodzisz z teatru wolnym krokiem: na ulicy zatrzymujesz się... Raz jeszcze rzucasz okiem na ten budynek. I dostrzegasz afisz biały na ścianie, a na nim: „Poczciwy łotr". To już nowy afisz...

O srogi zwyczaju prowincyonalny! o tak! już wszystko skończone! biedny, młody autorze dramatyczny!

Biegniesz do hotelu; zapytujesz, czy niema jakiego pociągu w nocy.

Jest!... o radości! Płacisz rachunek i jedziesz na stacyą... Z radością wstępujesz do wagonu, który cię zawiezie do domu. Oddychasz swobodniej nieco, wspominając o tych kilku dniach ostatnich, najboleśniejszych w twojem życiu, gdy zbrzydły ci twoje zamiłowania i zamarzły zapały. Ze wstrętem myślisz o pisaniu; zdaje ci się, że

nie masz ani odrobiny talentu i, rozgoryczony, zniechęcony do sztuki i życia, namyślasz się, czy nie lepiej wyrzec się ambicyi, która sprawia tyle bólu i nie marzyć o niczem więcej, tylko o ciepłym szlafroku i miękkiej pieczeni.

O sztuko dramatyczna na prowincyi!

В А К

Trafiają się coraz częściej po naszych warsztatach — „bąki“.

Trochę ambitny, zamożny i niedaleko miasta mieszkający włościanin oddaje jednego ze swoich synów do terminu. Mały, ale krępy i przysadzisty chłopak, z wysadzonemi na wierzch oczami i ze szparą w gębie, staje przed panem majstrem. Terminatorzy zpod oka przyglądają się tej gapie, która ma być ich towarzyszem, i w myśli obiecują sobie płatanie mu różnych „kawałów“. Pan majster umówił się już z ojcem, a na zakończenie, zażywszy tabaki, zapytał małego:

— A masz ty chęć do rzemiosła?

— A juści.

Jeden z czeladników, usłyszawszy to chłopskie wyrażenie, szepnął do innych: „Bąk“.

Pierwszego dnia pozostawiono chłopca w spokoju i pozwolono mu oglądać wyłupiastemi ocza-

mi różne narzędzia warsztatowe. Na drugi dzień jednak zaraz rano krzyknął na niego czeladnik:

— Ty! Bąku! podaj mi to i owo.

I mały, krępy chłopiec z jasnemi włosami został od tej chwili Bąkiem.

Bąk rozpoczął swój termin.

Kazano mu wodę nosić, miechem dymać i obracać kamienne koło, nurzające się w wodzie, na którem ostrzono dłuta. Wszyscy w warsztacie byli zadowoleni z niego. Był silny, silniejszy daleko, niż ci bladzi, w górę tylko wyrośli jego towarzysze. Kręcił korbą kamiennego koła to prawą, to lewą ręką naprzemiany i mógł tak kręcić choćby przez pół dnia

Miał Bąk i specyalne zdolności, na których odrazu poznała się służąca pani majstrowej. Około jedenastej godziny schodziła ona do warsztatu i, uchyliwszy drzwi, krzyknęła:

— Niech Bąk przyńdzie na górę do kuchni. Jeno zaraz.

— Idź, Bąku, — mówił któryś z towarzyszów — a tylko umyj łapy, zanim się weźmiesz do skrobania kartofli, bo, jak nie, to po łbie!

Bąk zrobił większą szparę w gębie i szedł do kuchni, przechylając się z boku na bok, jak kaczka.

Po łbie dostawał bardzo często, zapewne dla-

tego, że był Bąkiem, gdyż niezawsze udało mu się znaleść inną przyczynę. Kiedyniekiedy trzepnął go który z czeladników w tył głowy, w to miejsce, które on sam zwykł był drapać dla pobudzenia szybszej pracy myśli. Trzepali go dosyć często, za często może nawet, starsi od niego terminatorzy, wymagając w ten sposób dla siebie ogromnego, przesadnego szacunku. Trzepnął go i majster niekiedy, rzadko wprawdzie, gdyż nieczęsto w warsztacie bywał. Bąk w takich razach przechylał głowę i mrużył oczy, a gdy ręka spadła już, prostował się i otwierał szeroko gębę. Co prawda, niewielką przyjemność sprawiały mu te uderzenia, które odbierał od terminatorów. Co innego od czeladników lub od samego pana majstra. Byłyto pochlebstwa dla Bąka, że takie figury raczą się z nim poufalić.

W pierwszych chwilach terminu zrobił Bąk fizyologiczną uwagę, że w mieście mają ludzie daleko lżejsze ręce, niż na wsi.

Przez czas jakiś była w warsztacie wielka uciecha z Bąkiem. Pewnego razu naprzykład daje mu któryś z czeladników z dobrą miną trzy grosze i rozkazuje: „Idź Bąku! do apteki, kup za grosz prowizora i przynieś dwa grosze reszty“. W aptece wyrzucają Bąka za drzwi. Wraca do warsztatu, zmartwiony, że nie mógł wypełnić

rozkazu, — tu się z niego śmieją. Śmieje się i on wreszcie, uradowany, że nie dają mu po łbie, choć tym razem, podług jego zdania, byłoby za co. Innym razem kują żelazo. Bąk, zapatrzony w sufit, ciągnie miech na dół, który zaraz potem sam odskakuje do góry. „Bąku!“ — mówią mu,— „podajno tamten kawałek żelaza“. Bąk podchodzi, schyla się, podnosi go i nagle z krzykiem upuszcza na ziemię. Warsztat zadrgał znowu śmiechem. „A co, Bąku!“ — mówią, — „ciężkie! nie poradzisz, choć takiś silny!“

Bąk patrzy na poparzone palce, ale kontent jest, że pozwalają mu powrócić do miecha.

Zato przy misce Bąk nie da sobie zrobić krzywdy. Gdy obsiądą we czterech wokoło jednego małego stolika, Bąk z pewnością zje tyle przynajmniej, co trzej inni. Tamci czekają, aż zupa ostygnie. Bąk nie zważa na nic; pakuje ukrop do gęby, aż mu się uszy trzęsą. Zwykle powolny i gamajdowaty, przy wspólnej misce staje się ruchliwym i zwinnym. Łyżka jego wędruje od miski do gęby i z powrotem z ogromną szybkością. Przytem, co niezmiernie gniewa miejskich jego kolegów, Bąk jest niedelikatny. Jeżeli który z terminatorów spóźni się, lub, zawołany gdzie na chwilę, nie może jeść obiadu jednocześnie z innymi, Bąk niewątpliwie wyręczy go. To, co

zostawią dla spóźnionego, Bąk wyje do ostatniej łyżki, a następnie wyliże do ostatniej kropli. Potem mogą dać mu po łbie, ile razy się podoba, — ale jest już po fakcie. Za tą właśnie „chamską naturę“ najbardziej nie lubią Bąka koledzy i, choć już półroku pracują w jednym warsztacie i jedzą z jednej miski, — nie zbliżyli się do niego wcale, i kto wie, kiedy się zbliżą.

Potrosze jednak Bąk cywilizuje się. Wiadomości jeograficzne włażą mu w głowę jedna za drugą. Z początku dowiedział się, gdzie jest dystrybucya, gdyż ciągle posyłano go po papierosy. Następnie poznał szynk, sklep z wiktuałami, wędliniarza, no! i aptekę. Były to wycieczki samodzielne. Daleko od domu nie wychodził sam, obawiając się zabłąkać. Czasami przebiegał parę ulic, niosąc koszyk za panią majstrową lub skrzynkę z narzędziami za czeladnikiem. Rozglądał się wokoło po mieście, ale bez zbytniego zadziwienia lub zachwytu. Myślał sobie zapewne, że miasto jestto taki las, w którym kamienice zastępują drzewa. Zresztą, ażeby się zadziwić wspaniałością gmachów miejskich, potrzeba na to trochę więcej inteligiencyi, aniżeli posiadał w owym czasie ten wiejski chłopiec.

Bąk zapisanym był na pięć lat terminu, po których miał zostać czeladnikiem. Pół roku upły-

nęło już, a dotąd nie potrafił trzymać, jak należy, pilnika. Nie martwiło to go jednak wcale. Wogóle, zajęty chwilą obecną, nie sięgał marzeniem w te czasy, gdy będzie już czeladnikiem Szedł sobie i szedł, jak wół, nie patrząc na miedzę, przy której każą mu zawrócić się. Zupełnie inaczej myśleli ci wysocy, bladzi chłopacy. Każdy z nich upatrywał końca tej terminatorskiej poniewierki, końca tej strawy jałowej, podawanej na wspólnej misce, oczekiwał nadejścia dnia, gdy wolno im będzie otwarcie bez krycia się po kątach zapalić papierosa; dnia, w którym uszanują w nich godność człowieka, gdy po raz pierwszy zawołają na nich: „Panowie!“ Wszystkie te marzenia, zachęcające do wytrwania miejskich chłopców, zupełnie obcemi były dla Bąka. Dla niego przyszłość zamykała się w obrębie kilku godzin, które muszą przetrwać, zanim zawołają go do obiadu.

Patrząc na jego okrągłą, wesołą, niezmąconą niezadowoleniem twarz, nie chce się wierzyć, ażeby taka twarz miała być własnością pana czeladnika kunsztu ślusarskiego. Bo Bąk nie wiele co się zmieni. Urośnie jeszcze, szerszy trochę, ale będzie zawsze ten sam. No, i jakto takiemu Bąkowi trzeba będzie za parę lat powiedzieć: „Panie!“

Nadszedł wreszcie czas, w którym pan majster uznał za stosowne wtajemniczyć powoli Bąka w zasady rzemiosła. Nieocenionym był Bąk wprawdzie dla pani majstrowej do skrobania kartofli i byłby może tak ze „cztery latka wiernie służył“, gdyby nie względy wyższego znaczenia. W dusznej, ciasnej, długiej a płaskiej dziurze, zwanej warsztatem, okoliczności się zmieniły. Najstarszy terminator został czeladnikiem, odrobił swój miesiąc i poszedł sobie. Drugiemu sprzykrzyło się rzemiosło po dwóch latach pracy, i także porzucił warsztat. Trzeci był ciemięgą, który zawsze więcej zepsuł materyału, aniżeli wartą była jego robota. Trzeba więc było znaleść kogoś, którynby pracował na majstra. Wiadomo bowiem, że czeladnicy są kosztowni, a i więcej nad dwóch trudno utrzymać drobnemu majsterkowi.

Bez wielkiego więc przekonania, pod wpływem konieczności, postawiono Bąka przy imadle i wsadzono mu w ręce pilnik. Sam majster osobiście pokazywał mu, w jaki sposób należy go trzymać jedną ręką za „*heft*“, a drugą dłonią rozpostartą, naciskać na koniec pilnika. Prawa ręka nadawała narzędziu kierunek, lewa wywierała nacisk. Wsadzono w szczęki starego imadła kawałek nie-

potrzebny żelaza i kazano go Bąkowi opiłować „pod winkiel“.

Kiedy majster po tej lekcyi udał się do bawaryi, jeden z czeladników udzielił Bąkowi praktyczną, fachową radę:

— A pamiętaj, Bąku, – rzekł — że pilnik to nie kłonica.

Skończyło się latające życie Bąka, do terminu wstąpił nowy chłopiec, który otrzymał w dziedzictwie rączkę od miecha i korbę od toczydła. Nowy terminator pobył parę dni w warsztacie i pewnego razu, wyszedłszy na miasto, nie powrócił więcej. Po nim nastał drugi, który wytrzymał cały miesiąc próbny, ale także rzucił warsztat, niezapisawszy się w cechu. Dopiero trzeci się udał. Byłto szczupły, mizerny sierota, który nie uciekł z warsztatu, ponieważ u opiekuna miał gorzej jeszcze.

Bąk tymczasem piłował różne kawałki szmelcu usiłując wyrobić dwie płaszczyzny, tak względem siebie ustawione, ażeby winkiel mógł spocząć jednocześnie na obu. Ale kawałek żelaza był uparty i trudny do obrobienia, jak chłopska dusza. Bąk piłował a piłował, pluł w ręce a pluł, — co minuta nos w połę ucierał, — ale wszystkoto była niewdzięczna praca. Jak jedna strona pasuje do winkla, to druga nie; druga pasuje znowu, to

pierwsza nie chce przystawać. Rób, co chcesz. Dwa dni całe, bez wytchnienia niemal, piłował Bąk, a kawałek żelaza, obracający się w szczękach imadła, malał, malał coraz bardziej, aż i nareszcie znikł zupełnie. Podrapał się Bąk w głowę, gdyż nie przypuszczał, ażeby umiejętność piłowania prowadziła do takiego rezultatu.

— No, a gdzie twoja robota, Bąku? — zapytał czeladnik, i po łbie go.

Majster jednak wcale się nie rozgniewał; był to człowiek dalej w przyszłość patrzący.

Zdziwił się zrazu, stanąwszy przy pustem imadle, a następnie był nawet zadowolony. Wiedział, że, ażeby rozdrobnić kawałek żelaza na miliony opiłków, potrzeba jest trzech rzeczy: imadła, pilnika i — wytrwałości.

Dano więc Bąkowi drugi kawałek żelaza do opiłowania.

Wkrótce przekonali się czeladnicy, że krótkie a grube łapy Bąka nie były tak niezgrabnemi, jak pierwotnie przypuszczano. Stopniowo, ale bez wielkiej trudności, nauczył się Bąk piłować i w ogniu robić. Nie był wcale niezdarą.

Wkrótce został Bąk pierwszym terminatorem w warsztacie. Poprzednik jego bowiem, który porzucił cukiernictwo dla ślusarstwa, zkolei przeniósł się od ślusarza do rękawicznika. A i z na-

stępców Bąka jeden tylko był stałym, ten mizerny i chudy chłopiec, którego nawet i w warsztacie nazywano „sierotą“. Kilkunastu innych nie wybyło miesiąca. Ten pierwszy, próbny miesiąc był bardzo trudnym do przebycia dla miejskich chłopców. Bąk często śmiał się z tych nowicyuszów, którzy po kątach płakali. On przecież wcale nie miał próbnego miesiąca. Wszedł bez żadnych zastrzeżeń na lat pięć, i basta. Przebył dwa lata, przebędzie i trzy jeszcze. Dotąd ani razu nie pomyślał o zmianie majstra lub rzemiosła, a tem bardziej o ucieczce na wieś do ojców. Nie rozumiał, że pomyśleć o tem można. Przejdą trzy długie lata, a on także ani pomyśli o zmianie żadnej. A przecież ma cięższy termin, niż inni. Innym nie kazali kartofli skrobać, drzewa rąbać, wody nosić, — a on to robił. Inni mają matki, ciotki, krewnych, którzy nieraz dadzą im sześć groszy, albo choćby bułkę z masłem, — jemu nikt nic nie da. Innych wreszcie nie bije byle kto po łbie, a jego bije.

Kiedyniekiedy odwiedza Bąka tatulo. Przywozi na furze kilka worków kartofli i kaszy i parę osełek masła dla pani majstrowej i następnie wstępuje na kilka chwil do warsztatu. Wtedyto czeladnicy mają pewne wyrozumienie dla jego syna i nie nazywają go Bąkiem, ale Wojtkiem,

lub nawet Wojtusiem. Nieraz zdarzy się, że krzykną na niego raz, drugi i trzeci: Wojtek! Wojtuś! a on nic, stoi i piłuje, jakby nie do niego. Zapomniał o swojem chrzestnem imieniu, przywykły do warsztatowego. Tatulo postoi, popatrzy, podziwuje się trochę i odjedzie furą. A wtedy dopiero czeladnicy na Wojtka: „Bąku! Bąku! A ile twój tatulo ma gruntu?“ — „A włókę“. — „A dużo ma świń?“ — „A ćtery“. — „To teraz jeno trzy, kiedy jednę oddał do terminu. Prawda, Bąku?!“

A Bąk uśmiecha się na to wszystko. Nie obraża się wcale, gdyż nie rozumie obrazy w tem przezwisku. Nawet nowowstępujący terminatorzy w pierwszym dniu pobytu swego w warsztacie nie nazywają go inaczej. Bąk i Bąk!

Wielkie miasto wywarło wpływ pewien na Bąka. Śmiano się z jego: „a juści“ i a „wejno“, i przestał je mówić. Wygładził trochę mowę bez starania o to, bez ambicyi stania się mieszczaninem. Sam czuł dobrze, iż wobec tych dzieciuchów z miasta jest niższym. Oni wiedzieli więcej od niego. Nieraz, gdy który czeladnik wypiłował ozdobną erajdę u klucza, radził się ich, a nie Bąka. I oni wtedy, popatrzywszy trochę na przedmiot, mówili: „W tem miejscu jest zacienkie lub zagrube, ten łuk powinien być łagodniejszym, to jest ładne albo niezgrabne“.

Bąk, który przecież już dwa lata w warsztacie uczył się rzemiosła, nie rozumiał tego, co jest ładne, a co niezgrabne. Patrzył nieraz długo i usilnie w erajdę, o której mówiono to i owo, oglądał ją, pragnąc zobaczyć coś, coś, co jednak tam było, skoro inni widzieli, — i dostrzec nic nie mógł.

Nie martwiło to go atoli. Była jednak rzecz, która nurtowała w jego duszy. Ci miejscy chłopcy codzień niemal przynosili pod bluzami kłódki, zamki lub klucze popsute, które w tajemnicy przed majstrem reparowali. Byłyto tak zwane „fuszerki“. Przynosiły one po parę groszy terminatorom, i to właśnie było przedmiotem zazdrości ze strony Bąka. On nie umiał wystarać się o fuszerkę. Nie miał znajomych, którzyby mu robotę jakąś powierzyli, ani sprytu, któryby dopomógł w poznajomieniu się z kimś. Zazdrościł miejskim chłopakom i paru zarobionych groszy, i zdolności do wyszukania takiej roboty, która daje parę groszy.

Trudniejsze reparacye, którym tamci podołać nie mogli, przyjmował Bąk od nich z ustępstwem. Kontent był niezmiernie, gdy zarobił dziesiątkę za kilka godzin pracy poza godzinami dnia, które odrabiał dla majstra za naukę. Zdobyty pieniądz chował w najskrytszy kąt łóżka, owinięty kilkoma

brudnemi szmatami. Druga dziesiątka poszła towarzyszyć pierwszej.

Nie miał wcale pociągu do rozrzucania pieniędzy, jak jego miejscy kamraci. Nie znał miasta i nie umiał go poznać.

Nie posyłano go zresztą nigdzie z tak zwaną „robotą na mieście", boby się rozmówić nie umiał. Całe dnie, tygodnie i miesiące stał przy swojem imadle, pracując ciągle, nieustannie, nieoglądając się na to, czy kto na niego patrzy, lub nie, jak gdyby wszelką istniejącą na świecie pracę chciał wypracować. A potem wieczorami pociemku, niezapalając świecy z obawy przed majstrem, dotykając niemal do oczu to, co chciał zobaczyć, pracował dalej nad „fuszerką". A gdy skończył robotę i oddał ją w ręce chłopca, który mu jej udzielił, uczuwał niepokój, czy zapłaconym będzie za swoję pracę? czy chłopiec ten nie ucieknie od majstra, jak tylu innych, akurat w tym czasie, gdy otrzyma pieniądze. A kiedy dostał do rąk oczekiwany pieniądz, biegł do swojego łóżka, rozwijał ukryte pod słomą szmaty, przeliczał po kilka razy uzbierane pieniądze i dokładał do nich nowy zarobek. Grosz, który dostał się raz do szmaty, nie wychodził już z niej.

W trzecim roku w szmatach tych leżało już jedenaście rubli i cztery złote groszy dziesięć.

Czuł jednak Bąk, że mogłoby, że powinnoby być więcej pieniędzy w szmacie. Dlatego nie cieszyły go one. Przeciwnie, gryzł się ciągle, że jest oszukiwanym, że z pracy jego korzystają inni. Gdy dostawał dziesiątkę, myślał nad tem, ile rzeczywiście zapłacono chłopcu, który robotę tę otrzymał bezpośrednio. Targował się uparcie i długo, a gdy udało mu się tą drogą otrzymać dwugroszniak, jeszcze większa porywała go złość, że inne roboty oddał tak tanio.

Pod wpływem tych myśli, które nie dawały mu spokoju, zmienił się Bąk trochę. Znikła z twarzy jego bezmyślna, wesoła gapiowatość. Stał się zamyślonym, ponurym nawet; kiedyniekiedy rzucał ukośne spojrzenia „zpode łba". W nocy, gdy usypiał i czuł pod siennikiem coraz bardziej rosnącą kulę z miedziakami, sen chwytał go zawsze w chwili, gdy myślał o pieniądzach straconych... zdawało mu się, że on jakieś pieniądze zgubił, utopił, przemarnował, i że obok niego leżą źli ludzie, którzy czyhają na resztę jego skarbów, któremi los go obdarzy...

Pewnego razu powiedział sobie, że utrapienie dlatego go prześladuje, iż jest Bąkiem. Gdyby nie był Bąkiem, otrzymałby i on fuszerkę. Dlaczego nazywają go Bąkiem? Czyż on jest rze-

czywiście bąkiem? czy jego tatulo jest także bąkiem? Nie, nie, nie!

I rozpaliła go gorączka zrzucenia tego przezwiska ze siebie. Powoli, powoli spostrzegł, iż ono nietylko szkodzi mu, ale i obraża go. A on, który jest czwarty rok w terminie, ma przecież prawo do szacunku.

Nazywano go ciągle „Bąkiem“.

Dawniej było mu to obojętne, dziś go drażni.

Razu jednego wstąpił do terminu rosły, rumiany chłopiec, którego ojciec i mama upraszali usilnie pana majstra o dobrą opiekę. Chłopak był głupowaty, i to do tego stopnia, iż spostrzegł to nawet Bąk. Wieczorem wszedł z nim w pogawędkę i objaśnił, że nazywa się Wojtkiem. Ale chłopak nazajutrz krzyknął na niego: „Bąku!“

Bąk spojrzał zpode łba, a oczy mu się zaiskrzyły. Za chwilę potem ów mały, mizerny sierota, powiedział mu, jak zwykle: „Bąku!“ Bąk nagle rzucił się na niego, przewrócił go na ziemię i zaczął bić pięścią po twarzy. Siłą zaledwie oderwano go z piersi „sieroty“, który nie bronił się, blady, jak płótno, przerażony, nierozumiejący swojej winy.

Dostał Bąk zato po łbie od majstra, ale od tego czasu terminatorzy nie nazywali go Bąkiem. Tylko w nieobecności jego rzucali to słowo,

w które usiłowali wlewać jaknajwięcej obelgi i nienawiści. Czeladnicy jednak tem chętniej teraz potrzebnie i niepotrzebnie wołali na niego: „Bąku!“ „Bąku!“ i bawili się jego rozdrażnieniem.

Bąk znosił to, ale w duszy wściekał się i postanowił koniecznie pozbyć się tego miana.

Czy myślicie, że nie dopnie tego?

Dopnie!

NIEBIESKA SUKMANA

Pomiędzy moimi robotnikami jeden był tylko, który chodził w niebieskiej sukmanie; inni ubierali się w szare świtki z czarnemi wyszyciami. Było ich dziewięciu silnych, zdrowych, wybranych przeze mnie chłopków z Wyganowa, którzy bez przerwy latem i zimą mieli stałą robotę przy reparacyi kolei żelaznej. Dziesiątym był ten... w niebieskiej sukmanie.

Ta niebieska sukmana, którą nosił na sobie Zemel Ochman, kolonista ze Skórkówki, — kosztowała mnie niemało zdrowia. Już zdaleka, gdym szedł kontrolować robotę, nachylona nad łopatą postać Zemela drażniła mój wzrok. Przy zapisywaniu i wywoływaniu robotników nowa irytacya. Z przyjemnością wymawiało się: Grzegorz Puchała, Maciej Pęczek albo Mateusz Okrutny... ale, gdy mi przyszło powiedzieć: Zemel Ochman, doznawałem czegoś... jakby drapania w gardle.

A ileżto razy robiłem niezmienne niby postanowienia, aby oddalić Zemela z roboty?! Upatrzyłem sobie na jego miejsce zręcznego chłopaka, Janka Piętalę. Młody, ochoczy, pracowity, w domu bieda, bo na czterech morgach ośmioro ich siedzi... przytem *Piętala*... wszystko, czego żądałem. Nieraz, wychodząc na linią kolei, zatopiony w myślach, przygotowałem się raz już skończyć z tą mordującą mnie formalnie myślą.

— Oddalę go dziś bezwarunkowo.

Przez chwilę, nieraz przez długą chwilę, zdawało mi się, że uczynię to. Ale, gdym zdaleka tylko dojrzał gromadkę robotników, a na szarem jej tle odbijający się płatek niebieskiego koloru, — słabłem odrazu.

— Nie... nie dziś, oddalać od roboty we czwartek — w środku tygodnia — nie wypada. Niech robi już do soboty... ale w poniedziałek skończę z nim... bezwarunkowo.

A winien temu był przypadek, który sprowadził Zemela przed mój dom w chwili, gdy się do niego sprowadzałem

Fura z rzeczami zajechała już, deszczyk naturalnie, jak zwykle w takich razach, zaczął kropić, a tu furman jeden ze znoszeniem nie może dać sobie rady. Pomagam mu z całych sił, energicznie, ale z moją pomocą pakujemy komodę,

zamiast na schody, na kanapę. Trzasło coś, jakby noga Furman podrapał się w głowę i obejrzał wokoło. Zrozumiałem, że moja pomoc nie na wiele się przyda. Obejrzałem się i ja. Wieś daleko... a tu deszczyk poczyna sobie coraz gęściej. W takiejto krytycznej chwili zjawił się przy furze Zemel i, nieproszony nawet, wziął się do pomocy. Rzeczy wkrótce zniesione zostały, lekko zaledwie zmoczone. Wszystko było w całości... z wyjątkiem tej nogi u kanapy. Furman odjechał wreszcie, a ja z Zemelem zabraliśmy się do ustawiania mebli w pokojach. Niemiec był zręczny i silny, — uwinęliśmy się więc bardzo szybko, i, gdy na widnokręgu ukazała się parokonna bryka, wszystko już stało na swoich miejscach, a nawet Zemel uwijał się po kuchni, nastawiając samowar. W kwadrans potem przyjechała moja żona i dzieciaczki, a ja wprowadziłem je z dumą do jadalnego pokoju, w którym na stole, nakrytym serwetą, stały przybory do herbaty, a z boku samowar buchał wesołemi kłębami pary. Baba wychwalić się mnie nie mogła, a nawet wyznała otwarcie, iż nie przypuszczała, aby taki niedołęga mógł uwinąć się tak gracko. Uradowany, podając jej szklankę herbaty, odpowiedziałem skromnie.

— A widzisz!

Tymczasem dzielny mój pomocnik nanosił na

zapas wody do stągiewki, narąbał drzewa, zniósł je za piec, jednem słowem doprowadził kuchnię do zupełnego gospodarskiego porządku, choć natychmiast zabieraj się do obiadu! Baba, obejrzawszy kuchnię, obdarzyła mnie nowem zadziwieniem i nowemi komplementami Wtedyto, podniecony wesołością, jaka spotkała całą rodzinę na wstępie do naszego nowego gniazdka, poklepałem Zemela po ramieniu i wyrzekłem te nieopatrzne słowa:

— Podobasz mi się, mój drogi. Od jutra będziesz miał stałą robotę przy kolei.

Zemel skłonił mi się do nóg.

W ten oto sposób niebieska sukmana Zemela znalazła się pomiędzy szaremi świtkami stałych moich robotników.

Po pewnym czasie — naturalnym biegiem rzeczy, pamięć usługi, jaką mi oddał Zemel, utraciła żywe kolory, zczerniała. Zrazu zachowywałem się obojętnie. Ale gdym rozpatrzył się trochę w okolicy, gdym zwiedził zamożną kolonią skórkowską, w której porządne domki, otoczone dużemi sadami i pokryte szczepionem winem, dosyć dziwnie odbijały od sąsiednich wyganowskich chałup, gdy następnie w gazetach wyczytywałem coraz to smutniejsze korespondencye z Poznańskiego, — widok niebieskiej sukmany zaczął mnie drażnić.

Zemel Ochman był wysokiego wzrostu, cokolwiek rudy, przygarbiony nieco, nogi miał wysokie, ręce długie. Mowa jego była dziwna jakaś, powolna, jakby z trudnością wychodząca z ust; głos gruby, głęboki. Przywędrował on niedawno na Skórkówkę, przed paru zaledwie laty. Najbiedniejszym był z całej kolonii skórkowskiej. Mieszkał na komornem, a żywiły go nietyle trzy morgi lichego piaszczystego gruntu, ile praca jego rąk. Dobytkiem całym była chuda krowa i kur kilka. Wszystko to wraz gruntem otrzymał w posagu za żoną, córką miejscowego kolonisty. Do obrobienia pola pożyczał mu teść sprzężaju, niebezinteresownie wszakże; musiał za to Zemel wraz z żoną odrobić mu pewną ilość dni w żniwa. Dla takiego biedaka stała robota, nieźle płatna i blisko domu, — była wielkiem dobrodziejstwem.

Nie mogę powiedzieć, ażeby Zemel nie czuł tego. I on, i żona szukali sposobności, ażeby w czemkolwiek mi być pożytecznymi. On przed udaniem się na robotę, przybywszy wcześniej, narąbał drzewa i nanosił wody na dzień cały. Ona raz na miesiąc, niewołana i niezawiadamiana, stawała o świcie do prania.

Zemel umiał być usłużnym. A chociaż chętnie wyrzekłbym się wygody, jaką w nim miałem, przyjmowałem jednak, skoro była. O moje do-

bro dbał lepiej, niż o własne. Miał na oku każdy szczegół mojego małego gospodarstwa. Doradzał mi, jak najpraktyczniej urządzić to lub owo.

— Proszę pana, — mawiał — trzeba teraz kupić kartofli, albo siana dla krowy, bo później podrożeje.

Jesienią usilnie pilnował chwili, gdy sprzedawać zaczną posusz w rządowym lesie. Zjawiał się wtedy u mnie, mówiąc:

— Proszę pana, trza kupić drzewa, już sprzedają.

Dawałem mu pieniądze i mówiłem:

— Kup!

Wyciągał rękę zadowolony, uradowany. W lesie sam wybrał drzewo, ściął je, ułożył w kupki, a nie ręczę, czy i nie ukradł kilka chojaków na moję intencyą.

Pewnego razu w tym czasie potrzebowałem go w nocy. Posłałem po niego służącą, która przyszła z oznajmieniem:

— Niema Zemela, proszę pana. Pilnuje naszego drzewa w lesie, żeby kto nie ukradł.

Sam Zemel wynajmował fury i zwoził drzewo na moje podwórze. Ja o niczem nie potrzebowałem wiedzieć. Gdy drzewo było złożone, przyprowadzał Zemel do mnie furmanów po zapłatę, którzy krzyczeli i przeklinali go, że umó-

wił się z nimi o większą cenę, niż ją teraz przede mną podaje. Wśród tego gwaru zachowywał Zemel niemiecką flegmę i nieustraszony patrzył tylko na moje ręce, wydające pieniądze, i mówił do mnie rozkazującym tonem:

— Niech pan więcej nie daje.

Miałem zaufanie do niego, wiedziałem, że nikt lepiej nie wypełni mojego polecenia. Używałem go nieraz w krytycznych chwilach. Pewnego razu podczas choroby Jędrusia, gdy gorączka się powiększyła, posłałem Zemela z receptą do apteki.

— Tylko wracaj, co sił — powiedziałem mu.

Wrócił w pół godziny, zlany potem, chwiejący się ze zmęczenia; pierś pracowała, jak kowalski miech. Gdym brał z drżących z wysiłku jego rąk flaszeczkę z lekarstwem, litość mnie opanowała.

— Idź odpocząć, — rzekłem — prześpij się.

— E! — odrzekł. — Może będzie trza jeszcze gdzie polecieć.

Mimoto wszystko jednak darować mu nie mogłem, że Niemcem był... Tolerowałem, gdym na niego patrzył; ale, gdy znalazłem się w swojej kancelaryjce samnasam z myślami, gdym rozważył to i owo, a poradziłem się tego uczucia, które czułem w każdej krwi kropelce, — wracało znowu to mordujące postanowienie od-

dalenia Zemela z roboty i pasowało się z przewidywaniem, czy do tego starczy mi dość stanowczości. Czułem, że było to moim świętym obowiązkiem.... Co poniedziałek, budziłem się zawsze z tą myślą. Ubierałem się wtedy szybko i wychodziłem przed sień Szarawo jeszcze bywało, jeno na wschodzie czerwone smugi światła zapowiadały początek nowego dnia pracy. Koło domu stała już gromadka robotników; wsparci na łopatach, z węzełkami, w których mieścił się kawałek chleba na całodzienne pożywienie, oczekiwali na przyjęcie. Czasami, gdy roboty było więcej, otrzymywali ją wszyscy. Najczęściej jednak usłyszeli:

— Ci, co zwykle!

Wtedy dziesięciu robotników z wesołemi minami wyłączało się z gromadki, reszta zarzucała łopaty na ramiona i powolnym krokiem oddalała się do domów. Ileżto razy w dniach takich powiedzieć chciałem Zemelowi:

— Dla ciebie niema roboty. Idź do domu.

A jednak nie mogłem; we wzroku jego było coś, co mnie ubezwładniało. I, kiedy oddalał się z innymi na robotę, wracałem do kancelaryi zły, rozdrażniony i nie uspokajałem się pierwiej, póki nie powziąłem nowego silnego postanowienia, że

to, czego nie uczyniłem dziś, zrobię w przyszły poniedziałek.

W ten sposób przeszło lat parę. Zemel zamienił się przez ten czas z biedaka w gospodarza, średnio zamożnego. Pieniądze, zarobione przy kolei, służyły mu. Wybudował sobie chałupkę o jednej izbie, niewielką ale przyzwoitą, za nią postawił obórkę nienajgorszą, podwórze płotem ogrodził. Na myśli miał postawienie stodółki i szopy na wóz, ten bowiem, stojąc na dworze, rozsychał się podczas upałów. Miał teraz już Zemel własny sprzężaj i konika własnego niewielkiego, który stał w obórce obok tłustych krówek. Wsiąkał Niemiec w nabyty kawałek ziemi korzeniami.

Właściwie gospodarstwem zajmowała się Zemelowa. Ona jeździła na targi do miasteczka, a nawet robiła sama lżejsze roboty. Zemel bowiem albo na linii kolejowej pracował, albo po mojem podwórzu się kręcił.

Baba moja lubiła go dosyć, choć nieraz nagderała się na niego. Zemel bowiem nieraz w poprzek stanął nieomylności kobiecej. Naprzykład, podczas gdy żona utrzymywała, że stanowczo kury jajka nieść przestały, Zemel wynajdował w rożnych dziurach podwórza całe gniazda jaj.

Szczególnie dzieci lubiły Zemela. Oczekiwały

one święta, ażeby z nim się bawić. Zemel spełniał każde ich żądanie; w ogrodzie postawił huśtawkę, dla lalki Maryni wybudował małe łóżeczko, Jędrusia godzinami nosił „na barana“. Było to ulubiona zabawa malca, który letnią porą wybiegał nad wieczorem na spotkanie robotników i wracał do domu na plecach Zemela, trzaskając z bacika i wykrzykując:

— Wio! wio!

Pomimo jednak lat całych, wciągu których zżywaliśmy się z Zemelem, zbliżenie to nie mogło się stać zupełnem. Pomiędzy nami stało coś, co odpychało mnie od niego. Widziałem w nim uzurpatora, który dzięki szczęśliwym okolicznościom zajął miejsce na robocie i w domu moim, z którego korzystał, dzięki sprytowi swojemu i mojej słabości charakteru, Ustępowałem tym narzuconym okolicznościom, w głębi duszy atoli czułem ciągłe wyrzuty.

Nareszcie udało mi się wypełnić obowiązek. Wskutek śmierci mojego brata, zostałem właścicielem folwarku. Wziąłem więc dymisyą z kolei i przygotowywałem się do przeniesienia na nowe siedlisko. Na moje miejsce wyznaczony został dobry mój znajomy, pan Walenty. Skoro tylko przybył, wprowadziłem go zaraz na służbę. Wieczorkiem zaś przy herbacie w pogawędce obznajmi-

łem go z miejscowemi stosunkami. Między innemi zarekomendowałem mu stałych moich robotników, których pracowitość i uczciwość wypróbowałem przez lat kilka.

— Serdecznie dziękuję koledze, — zawołał ucieszony, wyjmując notes. — Niechże ich nazwiska zapiszę sobie dla pamięci.

Zacząłem dyktować.

Mateusz Okrutny.

Grzegorz Puchała.

Piotr Puchała.

— Czyto bracia?

— Krewni zapewne. Cała wieś składa się z samych Puchałów. Dalej.

Maciej Pęczek.

Marcin Dębowski.

Jędrzej Zalega.

Józef Andrzejczyk.

Władysław Prądek.

Maciej Sosiński.

— To już dziewięciu, zatem jeszcze jeden. — Jan... Piętala.

Pan Walenty zapisał, poczem zamknął książeczkę i schował do kieszeni. Zatem wszystko już skończone. Odetchnąłem głęboko, swobodnie — od lat kilku po raz pierwszy. Zdawało mi się, że

spadł ciężar, który trzymał pod prasą swobodę moich myśli.

Odjechałem wkrótce, jak można było, najprędzej. Kosztowało mnie trochę jeszcze rozstanie się z Zemelem, ale byłto już koniec nareszcie. Zresztą Zemel, pomagając przy przenoszeniu rzeczy na furę, okazał się zupełnym niemrawą, tak niedołężnym, że dziwiłem się, jak ten sam człowiek przed paru laty tak zręcznym był i zwinnym. Gdy wsiadaliśmy na bryczkę, wybełkotał słów niezrozumiałych parę, ukłonił się czapką do ziemi, i odjechaliśmy.

Pamięć o Zemelu Ochmanie przez długi czas przechowała się w naszej rodzinie. Żona dosyć często wspominała o nim. Czasami napomknął Jędruś lub Marynia. Kiwałem w takich razach potakująco głową, i prawdziwą ulgę mi sprawiało, gdy rozmowa przeszła na inny przedmiot. Dość prędko bowiem przekonałem się, niestety, że wspomnienie o Zemelu niejednokrotnie zatruwać mi będzie chwile życia. Myślałem często o jego sukmanie niebieskiej, o tym wzroku dziwnym, jakim patrzył na mnie, o długiej postaci, schylonej nad łopatą.... co on teraz robi? czy domek jego wygląda tak wesoło, jak dawniej? czy w oborze stoją jeszcze dwie krowy i konik? Nie odpowiadałem sobie na te pytania. Czułem

w głębi żal jakiś, niezatarty, nieminiony, i całej siły woli używałem, ażeby myśleć o czem innem. Szczególnie stawał mi na myśli, gdym przejeżdżał przez tor kolejowy...

Po upływie lat kilku wypadło mi przejeżdżać za interesami przez te znajome dobrze miejsca, gdzie służyłem, jako urzędnik kolejowy. Zmieniło się potrosze wszystko. Myślą wróciłem do dawnych wspomnień. Pan Walenty przeniósł się już gdzieindziej. Żałowałem tego niezmiernie, gdyż utraciłem sposobność powitania dawnego mojego mieszkanka, w którem, jak mi się obecnie zdawało, było mi tak dobrze, jak nigdy w życiu. Zwykłe złudzenie. Przejeżdżając przez Skórkówkę, poznałem chatę Zemela. Smutno jakoś wyglądała.... Dostrzegłem nawet jego samego; rąbał drzewo na podwórzu.

— Jedź prędzej! — krzyknąłem na woźnicę.

Furman zaciął konie. Ale, zaledwie ujechaliśmy kilka kroków, zjawił się Zemel obok bryczki. Poznał mnie i przybiegł powitać. Trzeba było przystanąć.

— Jakże wam idzie, mój Zemelu? — zapytałem.

Nie odpowiedział mi narazie. Kiwał na żonę, wyglądającą z sieni, krzycząc:

— Nasz pan! nasz pan!

Przybiegła jego żona. Pochwycili obie moje ręce i całowali je silnie, serdecznie. Oczy ich błyszczały rozrzewnieniem. Nie mogłem dopytać się o nic. Po chwili kobiecie pierwszej rozwiązał się język.

— Bida u nas, proszę pana... ziemia nie wyżywi... na kolei męża już nie przyjmują.... konia sprzedaliśmy. Onegdaj krowę za podatek nam zabrano...

Zemel długi czas przemówić nie mógł. Odezwał się wreszcie grubym swoim, powolnym głosem:

— Jakże się panu szczęści?

— Dobrze, dziękuję wam, Zemelu.

— A pani?

— Zdrowa, zdrowa...

— A pan Jendrusz?

— Chodzi do szkół, duży już chłopiec...

Kobieta przerwała nam:

— My za państwa codzień modlimy się przy pacierzu...

— Tak, tak, — rzekł Niemiec. — Drugiego pana takiego nie znajdzie...

— Dziękuję wam, — przerwałem — dziękuję, ale śpieszy mi się...

Zemel znowu pochwycił moję rękę i przycisnął do ust.

— Niech panu Pan Bóg da wszystko najlepsze.

Konie ruszyły, bryczka potoczyła się po drodze. Nasunąłem czapkę na oczy, ażeby zakryć łzy, które czułem pod powiekami. Po chwili mgłą jakąś zaszły mi oczy... nie widziałem ani wioski, ani nawet furmana, który siedział tuż przede mną... a wśród turkotu kół usłyszałem raz jeszcze za sobą gruby, dziwnie jakoś dźwięczący głos Zemela:

— Niech panu Pan Jezus...

Ujechawszy dobrą wiorstę, obejrzałem się. Zemel stał jeszcze na drodze...

SPIS RZECZY.